

Wszem w obec, i ka-
zdemu z osobna, wiado-
mo czynimy, że pismo
nasze, pod nazwaniem
Pszonki znajome, nie
jest dziennikiem ani za-
dną gazetą, ale dziełem,
dziełem w całym teg
słowa znaczeniu, i że
przeto, jako takie, przez
wszystkich i każdego w
szczegółności uważane
być ma. Cena sześciu pół-
arkuszy tego dzieła na-
szego, a to jest najmniej
na co zapisać się można,
wynosi we Francyi: dwa
franki i pół, i z góry się



zalicza; za granicą zaś:
od każdego półarkusza
złoty polski jedn. Zapi-
sywać się można u nas,
u wydawcy *Demokraty
Polskiego*, u sekretarzów
Tow. Dem. Polskiego, i
u wszystkich i każdego
w szczególności, komu
zaufać można, że grosz
na ten cel powierzony
sobie, do naszego skarbu
odeszle. — Adres nasz:
Mr Pszonka Polonais,
rue des veaux, 23. Stra-
sbourg (Bas-Rhin). Pisać
franco.

PSZONKA.

Kwesta na Ojczyznę

BAJECZKA.

BRACIA i niebracia, szlachto i arcyszlachto!
napisałem dla was bajeczkę; czytajcie ją.
Zareczam z góry, że lepsza jak wszystkie
romanse francuzkie, dla was ma się rozu-
mieć, dla Polaków, bo polska. Jest ona
i fantastyczna i wesoła i okropna i bezbo-
żna i pobożna, jak kto zechce; ma nawet i
to, czego może nie każdy zechce, ma sens moralny, sumien-
niejszy jak w większej części waszych dzieł gotowalnych.
Ale wy sami najlepiej to osądzicie; przeczytajcie tylko.

Zdarzyło się raz w pewnej części świata, że pewny rozbojnik,
ale rozbojnik z dziadka i babki, a który miał bandę milijono-
wą i poświęcenie na herszta od namiestnika boskiego, a więc
rozbojnik według wszelkich praw boskich i ludzkich, napadł
na pewny sąsiedzki naród, zbił go, wymordował, rozproszył,
a resztę razem z jego ziemią zagarnął pod swoje panowanie.
Ów naród rozbity, był to naród śmiały, waleczny, i t. d., ale
jak wszędzie są ludzie i ludziska, tak i tam byli tchórze, głu-
pcy, a nawet lotry, a jak często złe weźmie górę nad dobrą,
tak i tam dobra połowa znalazła się słabszą od złej, dla tego
musiała uleść. Matka narodu, przegnana gdzieś na kraj świa-
ta, była istotą dziwną; obok najświętszych przymiotów aniel-
skiego ducha, miała pełno ludzkich słabości. Wyliczać je
wszystkie niemamy serca; a jednakże pomimo całej części dla
jój niesłychanego nieszczęścia i nieziemskiej wielkości, musi-
my dla nauki świata odchylić zasłonę i oskarżyć ją chociaż o
jedną niedolę, która się głównie przyłożyła do jój niedo-
li; byłato ślepa miłość dla niektórych dzieci z zupełnym za-

niedbaniem innych. Nieszczęście leczyło ją powoli z tój słabo-
ści, nigdy jednak tyle, ażeby niepowracała do niej; coś ją
zawsze ciągnęło ku jój pieczętom. Jako pocziwa, jako
wierząca w świętość swą sprawę, niestraciła ona nigdy nadziei
powrotu do swoich posiadłości, do dawnego dobrego bytu, ale
uważała zawsze za najskuteczniejszy środek wsparcie dostatnich
swoich dzieci, i na to tylko rachowała. Ile razy drudzy syno-
wie, którzy dzielili jój tułaczkę, a do których słusznie przy-
wiązała się całym swym nieszczęściem, usiłowali ją przekonać
o słabości tój podpory, i popierali to różnemi widocznemi do-
wodami. Tyle razy pocziwa kobieta odpowiadała im z łagodną
przymówką: Przestańcie, przestańcie! Przez wasze usta mówi
zazdrość szczęścia, rozjątrzenie biędzy; w mojem przekonaniu
każde z was dobrze zrobiło: wy, żeście poszli ze mną, bracia
wasi, że zostali w domu i krzątają się około mojego gospodar-
stwa jak mogą. Im więcej będą mieli, tym więcej dadzą. Odda-
dzą nawet wszystko, bo wiedzą że wszystko mają z mojej do-
broci. Zobaczycie, powtarzała, zobaczycie, że przyjdzie pora,
kiedy i oni będą tak dobrymi jak wy jesteście, i czekają tylko
mojego zażądania, aby wszystko dla mnie poświęcić. Trudno
było przekonać matkę słowami, bo i ci co pozostali w domu,
słów umieli używać: pisywali do niej listy, litowali się nad
nią, pocieszali ją, obiecywali złote góry, tylko o cierpliwość
prosilili. Spór więc na słowa nieprzyniósłby był żadnego skutku;
otoż niektórym taka myśl przyszła: poznać ją w wykonaniu.

W pewnej tedy prowincyi, pewnej niegdy rzeczywolitej,
obchodzono rocznicę *trzeciego maja*, a obchodzono ją porząd-
nym obiadem, jakto i między nami bywa. Niemało więc było
nabożnych, przynajmniej tylu co adjutantów przy naszych rewo-
lucyjnych wodzach; a wszystko ludzie dobrani, to jest: z każde-
go oczów, jak z guzików lokaja, wyglądały herby i korony
wszelkiego kalibru; myślałbyś że zmartwychwstał nieboszczyk
sztab nieboszczyka Skrzyneckiego. Owoż tedy dobrze jedli,
dobrze pili, a co zostawało czasu od jedzenia i od picia roz-
prawiali o rzeczach publicznych. Im wyraźniej ucza dawała
się uczuwać w żołądkach i głowach, tém śmiej, tém głośniej



3734/1840

brano się do przedmiotów coraz drażliwszych: przyszło nakońiec aż do otwartej rozmowy o sprawie polskiej. Wtedy to dopiero wyszły na scenę: cała ostatnia rewolucja, przepraszam, powstanie tylko; wielkie ofiary, wielkie łaski wysławiane ojczyźnie przez każdego z biesiadników w szczególności, i przez wszystkich w ogólności; niesłychane kłopoty z przyczyny emigrantów, których jednak żaden z nich niezamieniłby za położenie emigrancie; wiekopomne narażania własnych osób a nawet koni; nadludzkie poświęcenie się księcia Mesyasa; przebiegłość polskiej dyplomacji; świetne widoki polskiego narodu. Gdyby się był dostał pod króla z domu opętanego wielką chorobą; piekielna myśl usamowolnienia chłopów, zniszczenia przywilejów szlacheckich, zdercia dyplomatów hrabskich, i tym podobne zbrodnicze zamiary demokratów, jakobinów i t. d. Wreszcie pośród rzewnych rozmów o nędznym stanie Polski i jej emigracji, uprzątano przed litośnych panów srebra i porcelany, a miejsce ich zastąpiły kryształ. Poszły liczne toasty węgrynem, naprzód na cześć świętego dnia, którego ustawa liberalna nie była, jak się przekonali nareszcie, tak strasznej liberalności dla hrabiów nawet; potem na cześć bitew, gdzie się krew z najszlachetniejszych serc lała, zdaje się dla tego tylko, żeby jej krople spłacono pamięci męczenników kroplami wina. Przysięgam, że biesiadnicy pili nie w innej myśli. I niemieliż słusności?—Jedni poświęcili się z całego serca, to prawda; my zostali, ale też za to upijamy się bez żadnej wymówki.—A teraz! zawołał jeden z uczujących, podnosząc ogromny puhar kryształowy, opisany patryotycznym jakimś godłem, urysowany, uherbowany, a teraz: zdrowie naszej tułającej się, żebrzącej ojczyzny! — Tak, tak! wyrodek kto tego puharu niespełni do dna duszkiem! zawołano w okrag stołu, i wszystko się poruszyło, i wszystkie zadzwoniły kielichy. — Po raz drugi: zdrowie tułającej się, żebrzącej ojczyzny! i po raz drugi rozległ się ten sam dźwięk i gwar. — Po raz trzeci: zdrowie tułającej się, żebrzącej ojczyzny! i uderzyła północ, drzwi się otwarły, i weszły dwie osoby: kobieta i mężczyzna. Mężczyzna młody, silny, okazały, zdradzał w każdym poruszeniu żołnierską śmiałość i rubasznosc; oczy jego jaśniały odwagą chrystusowego poświęcenia się; ze zmarszczków młodego czoła, z wyrobionych rysów twarzy, widać było że niedola, oburzenie i smutki zamąciły je nieraz, ale w wyrazie całego oblicza panował majestat nieugiętej rezygnacji, tylko częsty, zimny uśmiech miał coś tak sztywno-strasznego, że przesywał mrozem każdą nikczemną duszę. Kobieta, którą trzymał pod rękę z uszanowaniem synowskim, i więcej niż synowskim, lubo jej ubiór okazywał wielki niedostatek, miała w swojej twarzy coś tak rzewnie uroczystego, coś tak dumnie cierpiącego, że wzięłbyś ją za anioła skazanego na pokutną pielgrzymkę wśród ludzi. Po niepewnym stąpieniu wnosić było można, że była w pół-ciemna; oczy jednak niezwykłym pałały blaskiem, zdaje się że ustawne cierpienie zamieniło je we dwie lzy wielkie.—Gdzież to ja jestem? szepnęła seicha, wchodząc do sali. Oniż to? moi ukochani synowie? Oni uczują, śpiwają, bawią się jak na weselu, a ja omdlewam z niedostatku i smutku, a ich bracia konają przy obcych progach, na żebraczych torbach dla ich dobra! O!...—Matko, zatrzymaj swój wyrok, przerwał mężczyzna. Kto wie co to jest? Może obchodzą bliski twój tryumf? Cieszą się naprzód pewnością przyszłego twojego szczęścia? Wszak wszystko w ich rękach; wszystko mogą zrobić. Zapełnione oni wiedzą co robią. Czekajmy aż się lepiej przekonamy... Sztywność, oburzenie grały widocznie po jego rysach, kiedy wymawiał te słowa pocieszenia, którym sam niewierzył: miał jednak tyle mocy nad sobą, że wewnętrznego wzruszenia nie zdradził żadnym słowem, najłżejszym dźwiękiem głosu, uspokoił więc matkę na jakąś chwilę. Przystąpił potem do stołu, wziął talerz, i tak przemówił do biesiadujących:—Ziomkowie! oto wasza matka, ja wasz brat, a oto talerz jałmużny. Wiadoma wam nęda matki, ale tego może niewiecie, że od obecnej chwili niemają zależeć los dalszego jej życia. Jestto chwila, w której hojność wasza może ją nazawsze uszczęśliwić. Dajcie na ten talerz, dajcie co kto może. Przyjmijmy wszystko, choćby

przekleństwo. W imię więc ojczyzny! na potrzeby ojczyzny!

Taka przemowa donośnym wydaną głosem, zwróciła wszystkich oczy ku kwestarzowi, ucięła wszystkie rozprawy, tylko szeptało gdzieś: Co to jest? nowa składka, że też nie można nigdzie być wolnym od tych żebraków. Po chwili ustały i podobne szeptania, a wszyscy wlepili oczy w pierwszego, ku któremu kwestarz wyciągnął swój talerz. Jego znalezienie się będzie prawem dla wszystkich. On też czuł co na nim spoczywa, ale zagadniony taką niespodzianką w dziwnym był stanie. Zrazu pot zimny wystąpił na czoło, spójrział potem po współbiesiadnikach, a jakby tym jednym spójrzeniem rozmówił się z nimi, i zyskał potwierdzenie tego co dla ust przygotował, pokrzepił się, obtarł czoło, i wyrzekł nie bez zająknięcia. Jednak o ile mógł jak najprędzej.—Musisz pan wiedzieć, że pod naszym rządem wszelkie składki, bez jego wiedzy, surowo są zabronione... Podobno się wszystkim, że nic nie dał, niepodało się, że dał odmowę z taką przyprawą. Od razu na sto twarzy wystąpiła chwilowa rozwaga, i wnet można już było na każdej wyczytać inną odpowiedź. Kwestarz tymczasem rzucił ostróżnemu panu otulone gorzkim uśmiechem *dziękuję!* i przystąpił do drugiego. Drugi zamał miał czasu na przygotowanie odpowiedzi, widoczne więc zakłopotanie przewracało mu oczy.—Śmiało, śmiało panowie! zawołał kwestarz. Powtarzam, że wszystko przyjmujemy, choćby przekleństwo, choćby nóż w serce. Wszystko przyjmujemy, bo kiedyś wszystko oddamy, i nie będziemy się wahać.—Ha! kiedy tak, odpowiedział baronszambelan, czy szambelan-baron, to ja z mojej strony dam radę. Nam, widzisz wacan dobrodziej, nam, co mamy stosunki z najjaśniejszym dworem, niewypada mieszać się w coś podobnego bez jego wiedzy, mimo całego naszego patryotyzmu; więc naprzód jako urzędnik dworu, a potem jako brat uprzejmy radziłbym drogę urzędową... Co dalej mówił, trudno wiedzieć, bo mówił coraz ciszej, i kwestarz nieczekając końca, podziękował za część rady jak za całą, i stanął przy trzecim...—Dostyc już tych składek, mój panie, mówił trzeci, dobrze przygotowany do odpowiedzi. Mam już ja za swoje. Niech emigracja zaświadczy. Teraz trzeba pracować, ażeby się cokolwiek polatać. Niech inni dają... Następujący po nim, jeszcze słuszniejszą miał wymówkę.—Jabym dał, bo kiedyś odmawiałem czego ojczyźnie, ale cóż jej z tego przyjdzie, kiedy ja sam będę dawał. I ja stracę i ona niewiele zyska. Gdybym wiedział że wszyscy dadzą, wtedy co innego... Niezawstydzil go siedzący przy nim; mówił on do kwestarza w następujący sposób:—Nikt jaśniej nademnie niepojmuję potrzeb ojczyzny. Jestem zawsze pierwszy, gdzie o nią chodzi, ale dzisiaj związały mnie takie okoliczności... Niedawno się ożeniłem, żona w ciąży, każdy wypadek niezwykły robi na niej wrażenie tak gwałtowne, a ty kolego wiesz, że gdyby rząd dowiedział się o dzisiejszej składce, pewne stąd nieprzyjemności, a oczy rządu i tak na mnie zwrócone. Nuż żona zachoruje, poroni, któż mi wynagrodzi stratę dziecka jedyne, pierworodne?... Kwestarz szedł dalej, wciąż dalej, i wciąż przycygnęła mu podobna piosenka, ale było dopiero szary koniec biesiady. Niech wypróznia ten pierwszy kielich, my tymczasem obejrzymy ucztę, z grubszego jak to mówią końca. Otóż, na miejscu honorowem siedział wybór obywatelstwa, arcyśzlachta, matedory promienistsze, książęta, hrabiowie, naczelnicy, exnaczelnicy komitetów, exkomitetów sławnych na świat wielki, jak miejsce ich posiedzeń, gotowych zbuntować się przeciw samemu cesarzowi za pozwoleniem cesarskim, głowy ciała bez głowy, arcyministrze miejscowej, prowincjonalnej dyplomatyki, każdy maleńki Czartoryski w przedpokoju dyrektora policyi. Zgodni między sobą gdy chodzi o oszukanie spółziomków, zawiśni, skoro jaki świstek dyplomatyczny pocnie przeważać szalę znaczenia na stronę jednego z nich. Bez podobnych ludzi, cóżby znaczyła ta cała trzoda?... cóżby poczęła żeby nie było kogoś, co by za nią myślał, robił? skądżeby czerpała swoje zdanie? I wobec niej więc chwili ścisnęła się w igronka, każde przy swoim przywódzcy, a zewsztych stron zapytują: Coto jest ta kwesta? Jak sobie postąpić w tym razie? Wypadało odpowiedzieć

na to zapytanie, prezes więc komitetu znakomity nadewszystko swoim brzuchem, w ten sposób głos zabrał, popijając czarną kawę: — Panowie bracia, znacie mój patryotyzm i liberalizm. Wiście, że czasem jestem aż za uwolnieniem chłopów. Jednak nieboicie się mojej demokracji, bo wiecie że rozumiem to pod pewnymi warunkami, przez które więcej zyskamy, aniżeli stracimy na zniesieniu pańszczyzny. Krótko mówiąc, znacie mnie dobrze, i dla tego oddaliście mi swoje zaufanie, a na dowód zaufania obraliście mnie prezesem waszego komitetu. A o tym komitecie wie już cała Europa. Zleż prowadziłem publiczną sprawę? Czyż niedowiodłem żem dyplomata? Każdy protokół naszych narad sprawdzany był przez dyrektora policji, i dzięki naszemu gorącemu patryotyzmowi nie było w nim nigdy nic takiego, co by nas podało w podejrzenie; zrobiłem członkiem komitetu komisarza policji, gubernator wiedział o najskrytszych naszych robotach, krótko mówiąc, rząd niemógł nas za nic zahaczyć. Otoż, cóż ja chciałem powiedzieć? ha! otoż wszystko daje mi prawo być pierwszym pomiędzy wami; ten kwestarz powinien był wiedzieć o tem, a zrobił jakby niewiedziały, albo jak żeby nie było mnie tutaj. Ale nie to chciałem powiedzieć. Brón boże! Gniewać się za to, że ktoś nie do mnie z czémś nasamprzód się udał, brón boże! bo u mnie przedewszystkiem: kochajmy się! Ale ten jego postępek wprowadza mnie na myśl;... Ale, ale, za tydzień zamawiam na polowanie, wszystkich jak tu jesteście. Mój lesniczy pisze mi, że odkrył wielkie gniazdo niedzwiedzi. Będzie tam i wino świeżo z Węgier sprowadzone, ale jakie wino? (cmoknął mówiąc to w kołce palców.) nie żał mu dać gęby. Otoż, ten kwestarz jest mi bardzo podejrzany, spodziewam się że niezechcecie swego grosza w błoto rzucać! — Tak, tak, hrabia ma rację, zawołała szlachta, z niczém go odprawić. Nagły ten hałas zbudził sekretarza hrabiego, który miał zwyczaj drzymać, ilekroć słuchał mówiących, lub sam mówił. — Hrabia ma rację, powiada, ale z niczém odprawić, to nie. A nużto demokrata? Duch czasu nam wiadomy. Niebiegnijmy z nim, ale leżmy za nim. Gdyby mię sen niemorzył, powiedziałbym wam panowie, wiele w tym przedmiocie. Na ten raz w krótkości objawię moje zdanie. Trzeba tak zrobić, żeby to nie niedać i coś niby dać. Tłumaczcie to sobie panowie jak chcecie... Klientela hrabiego nie w ciemę bita, zrozumiała myśl sekretarza; było dla niej wyrok Salomona. Sumienia ich były zaspokojone, choćby nawet kieszeń poskrobała się w głowę, bo jakkolwiek niekczemni, pozostali im jednak z wywietrzonego zapasu patryotycznych uczuć, wstyd i obawa aby nie uchodzić za złych patryotów; gotowi byli do ofiar dla oka.

Cała ta scena była przykładna, jak wieczerza pańska, w porównaniu z tem, co się działo w inném miejscu stołu. Tam rozpoczęty nagle hałas tak wzrastał, że głosy kilkudziesięciu gardel zmieszał w jeden gwar niepojęty; tylko głos jeden wybijał mu takty, jak tulumbas w orkiestrze, głos pułkownika; tylko jedna powaga uciszała go na chwilę, powaga deputata — dyplomaty. Deputat, byłto mały, pękaty, łysy siwosz, z wiecznie mrugającymi oczami. Cała powierzchowność oszusta, ale oszusta, w lepszym że tak powiem gatunku. Zrodzony żydem obdarłby wioskę figlem podwójnej kredki, zrodzony majetnym szlachcicem wszedł we sferę dyplomacji, przyjął służbę u wyższych nad siebie oszustów, fałszywy towar, którym go obdarzali zręczniejsi od niego okpiwacze, przedawał za dobry swoim braciom, i w końcu został dla całej prowincji wielkim człowiekiem stanu. Niewierzono jego prawości, dziwiono się politycznym zdolnościom, bito czołem przed stosunkami z arcykapłaństwem narodowej dyplomacji, których tajemnice zdradzał niekiedy jakby od niechcienia, przez zagadki, gdzie zawsze tała się ta jedna myśl: głupi kto mi wierzy. Pułkownik znowu, byłto stary żołnierz, który zszedł z pola wcalem znaczeniu tego słowa. W latach młodszych zdolny był do wszelkich poświęceń. Jak każda młodzięca dusza, w zawodzie wojskowym odznaczył się męstwem, bo miał krew polską. Wick, niepowodzenia publiczne, charakter niewsparty wyższm rozwinięciem strony moralnej i umy-

słowej, zgasiły zapal obywatelski, zmarnowały męstwo, któreby można nazwać narodowem, którego polem jest pole narodowych rozpraw; nie mu z tego wszystkiego niepozostało tylko zapal i burda przy kielichu. Miał je także jako pieczeniarsz, w obronie tych których obiady zjadał. Brak majątku dziedzicznego i niezdolność utrzymania się własną pracą przyprowadziły go do tego, że od czasu wystąpienia ze służby wojskowej uznał za najdogodniejsze, przywdziać na miejscu barwy narodowej barwę partyi; zamiatał więc salony bogaczy laurami wojennej zasługi, i za przywilej poufania się z panami, zjadania tego co panom odejmowano, szczełwał na śmietnikach arystokracji przeciwko wszystkiemu. Co się pokazało nie w jej barwie, co śmiało ślachtetnym zapalem rozburzać zagrody ich rachub samolubnych. Piękne figury! jak ten deputat-dyplomata i pułkownik-pieczeniarsz, a one jednak rej wiodły w obecném zgromadzeniu. Sądźcie z nich o reszcie. Ale wracając do burzy sejmikowo-pijackiej, powstała ona jak następuje: Kwestarz był jeszcze w początkach swęj kwesty, kiedy dwóch sąsiadów pułkownika rozpoczęli taką rozmowę: — Jak tu go odprawić? zapytał jeden, z całą dobroduszną szczerotą. — Z niczém, odpowiedział drugi. — Ale boto... może to i pocziwy jaki człowiek. — Co tam te wszystkie ale. Czy pokazał jakie listy od jakich znakomych osób? Czy zalecił się jakimi wyższymi stosunkami? Mój sąsiad-hrabia radzi w podobnych razach jak największą ostrożność. Właśnie tylko co gadałem z nim o tem. Wyłożył mi jak na dłoni, że to moskiewski figiel. A hrabia potrafi sądzić o tych rzeczach. On co takie śmieszne wiersze pisze. Ma przytém doświadczenie i stosunki. — Prawda, przerwał pierwszy, brat jego siedzi w Petersburgu, i ma być dobrze położony u rządu Rosyjskiego. — Cóż ma robić? głową muru nieprzebiję. Mają mu za złe i to nawet, że należał do komitetu śledczego w Warszawie. Gdyby był nieprzyjął tego miejsca, i sprawy byłby niepolepszył, i byłby może stracił zaufanie monarchy. — Prawda, potwierdził pierwszy, ale i na samym hrabi ciąży zarzut, że podczas ostatniego powstania uciekł do Wiednia. — Przed cholerą, zawołał drugi z niecierpliwością, na honor, że przed cholerą. Hrabia wie, że tacy jak on ludzie zawsze są krajowi potrzebni, powinien więc przedewszystkiem starać się, ażeby jak najdłużej zachować się dla kraju. Trzeba i na to jeszcze mieć wzgląd, że to familija stara, a tylko przez takie familije ojczyzna stoi. O! daj nam boże więcej takich jak hrabia. Ja o ile go znam, mogę ręczyć moim honorem, że hrabia niegorszy od innych hrabiów, niegorszy od nas wszystkich. — O! na to zgoda! mruczał dobroduszny sąsiad, a mówiący dalej ciągnął: — Gdybyśmy słuchali takich jak hrabia, niewystrzelilibyśmy pewno z żadnym głupstwem, i ten kwestarz byłby już dawno za drzwiami ze wszystkimi swoimi zamiarami. — A jakieżto jego zamiary? — To jeszcze nie wiem. Nowe powstanie!... To słowo *powstanie* zadźwięczało dla naszych biesiadników mogących je dosłyszyć, jak dla muzycznego ucha fałszywy ton w muzycznem dziele. — Co? powstanie? zawołał pułkownik. — Tak przynajmniej hrabia mnie zapewnił, odpowiedział wielbiciel hrabiego. — Panowie! zawołał deputat, nieinaczęj. Hrabia wie odemnie, a ja mam na to dowody; czarne na białem. Ostrzeżono mię listem z Paryża, z obowiązkiem przeszkadzania temu szaleństwu. — Powstanie dzisiaj? zawołał pułkownik i zaśmiał się szydersko z całego gardła. Mielśmy wojsko, pieniądze, rząd, sejm, wszystko co do wojny potrzeba, i upadliśmy, a dzisiaj gdzie to wszystko: ciekawe muszą być plany tych wojaków bez wojska. — Wyłożę je wam w kilku słowach, posłuchajcie, zawołał deputat. Wszystko to co pułkownik zaenym wymienił, jest podług zapaleńców w narodzie. Podług ich rozumowania, materyalne środki wojny są niewyczerpane w narodzie, który ożywia zdrowa narodowa dusza. Trzeba tylko wciągnąć do wojny cały naród, poruszyć wszystko, nawet chłopów, wystąpić w całej masie. — Ruchawka! ruchawka! przerwał pułkownik z przekąsem. Prześlizgnij wojna z ruchawką! przypatrzyłem się ja tej przekłętąj ruchawce. Pierwszy ucieklbym za morze, gdyby naród miał przyjąć do tego głupstwa. Ten nierozsądek nie byłby do przebaczenia. Niech się zastanowią, że

nieprzyjacieli ma piechotę z karabinami, ma kawalerię, ma działa. Może mu damy radę z kosami? — I oni, przerwał deputat, chcą przyjść do wojska porządnego, ale rozpoczynają przez partyzantkę. — Co?... zawołał pułkownik, partyzantka, wojna podstępna, po lasach, górach, świętokrzyscy zbójcy! — To nie dla Polaków, zawołało wiele głosów. — Nasamprzód, co by na to powiedział Napoleon, albo Jomini, odezwał się z uśmiechem młody biesiadnik, który po przeczytaniu kilku dzieł wojskowych, niewyobrażał sobie innej wojny, tylko okrośloną w książkach. — Jechał ich sek! zawołał jeden z hrabiów, ale w takim poruszeniu ludu, co by się stało z tymi, których prawo urodzenia wyznacza na kierowników sprawy publicznej? — Mój mandataryusz, zawołał ktoś, na czele rządu! — Drugi zaś: Mój leśniczy Jenerale! — A nasze prawa! wołał trzeci, jak każdy uczuje że coś znaczy. — A nasze majątki, krzyczał czwarty, jak hołota weźmie broń w rękę. — Wszystko przewróci się do góry nogami, wrzeszczał jeden przez drugiego. Rządy rewolucyjne! trybunały rewolucyjne! Jakobinizm! Robespierjery! straszny sąd! — Nie!.. zagrzniął pułkownik, żaden stary żołnierz nie chciałby się w to mieszać. — Co zaś najważniejsza, dodał pan deputat. Rząd anstryacki niech z nami gadać niechciał. Żadnej wtedy drogi do układów z rządami, żadnej dyplomacji. — Prawda, prawda, odezwały się pojedyncze głosy, żadnego ratunku na przypadek przegranej. — Niebędzie przegranej, tylko śmierć wieczna, lub życie wieczne, odezwał się donośnie obcy głos po za kołem burzliwem. Obejrano się, kwestarz stał ze swoją towarzyszką i powtarzał: W imię ojczyzny! na potrzeby ojczyzny! Na te słowa, deputat jakby nagle uderzony natychmiastem, zerwał się z palającą twarzą, i krzyknął: — Panowie, niedawajcie nic. Zaklinam was na księcia Adama, zaklinam was z jego polecenia, w jego imieniu. To są ludzie niebezpieczni, podejrzani, zapaleńcy, szaleńcy, demokraci, nieprzyjaciele księcia Adama, generała Skrzyneckiego. Niegodni są naszych ofiar. Aporwawszy swój puhar, podniósł go nad stół i dalej mówił: — Kto Polak niech tutaj daje; będzie to ofiara godna was, ofiara dla księcia Adama, dla generała Skrzyneckiego. Nagroda od was, wsparcie od was im jednym słusnie się należy. Onito poprowadzili rewolucję tak dobrze, że aż na drugi koniec Europy zaszła, oni za bożą pomocą jeszcze ją dalej wprowadzą. Oni wyobrażają dziś naród, to jest was. Oni wszystko dla was poświęcili. Książę wszystko w kraju zostawił; pyszny swój pałac, przepyszny ogród, przepyszne senatorskie krzesło, przepyszniejsze jeszcze widoki swoje względem królowania, zostawił to wszystko w kraju, i dzisiaj jest w nędzy. On, taki pan, o groźno! musi żyć z dochodu kilkunastu wiosek, musi przestać na jednym pałacu w Paryżu lub Londynie na kilku lokalach, kilku karetach. Coż mam mówić o jenerale; gdyby nie wioska w Galicyi, gdyby nie wist z Karolem X, i duchowny obrok austriackiego biskupa, gdyby nie nadzieja dowodzenia wojskom polskim raz jeszcze, tak jak już dowodził, może dotąd byłby sobie już w łeb wypalił. Takimto ludziom grosz wasz potrzebny. W imię więc księcia Adama na potrzeby księcia Adama! i potrząsnął puharem, i sypały się w puhar pieniądze dla dwóch wielkich nieszczęśliwych. Kwestarz jakby nie tego wszystkiego niewidział i niesłyszał, podstawiał swój talerz pierwszemu lepszemu, ale ten, zaskrzywszy oczami, wybuchnął całym oburzeniem: — Co? jałmużny dla was? Albo to nie wiemy waszych zamiarów? Zebrać pieniądze, nakupić sztyletów, poburzyć chłopów, oddać im nasze majątki, a nas wymordować, zniszczyć, zrównać z chłopami. Karmelity wam na jałmużnę! Karmelity!... Kwestarz ani na chwilę nie spuścił swoich oczu z oczu mówiącego, (którymi przewracały wino, szlachecki wstręt ku demokratom, a razem wewnętrzne jakieś pomieszanie), wturając spokojnie, powoli, słowami: Niech się każdemu stanie według jego wiary. Zaledwie to się skończyło, kiedy z różnych stron krzyknęto: — Precz, precz z kwestą! Precz kwestarz! On stał ciągle z niezmiennym bynajmniej obliczem, z obojętnością trupa, tylko wodził uroczystym spojrzeniem po całym zgromadzeniu, aż dopóki wszystkie krzyki nie ucichły. Jeszcze raz oprowadził wzrok swój po biesiadni-

kach, a kiedy wszystko zamilkło aż do szmeru, zawołał donośnie. — Panowie! po raz ostatni: W imię ojczyzny! na potrzeby ojczyzny! Milczenie. — Jakże? ani jednego, do którego kieszni tenby głos przemówił?... Na to zapytanie jeden tylko deputat zdobył się na odpowiedź: Niemamy żadnej rękąmi że to dla ojczyzny. Ojczyzna jak zechce trafi do nas innym sposobem. My sami najlepiej wiemy kiedy ojczyzna potrzebuje. Moje zdanie jest zdaniem wszystkich. — A więc, zawołał kwestarz, wszyscy niech wezmą do siebie co powiem. I to wszystko mówicie szczerze, w najczystszych zamiarach, z przekonania najsumienniejszego? Zaklnijcie się że tak jest, zaklnijcie się na... chciałem powiedzieć na miłość ojczyzny, na sumienie, ale takim zaklęciem moglibyście poprzeczyć fałsz największy. Nie! wam innego potrzeba, każdemu innego. Ty, żebyś nie miał z korea kartofli jak garniec wódki; ty, żebyś dom twój nie doczekał się nigdy hrabskiego tytułu; ty, żeby żona twoja przestała jeździć kareta; ty, żeby ci na zawsze zamknięto wstęp na pokój areksięcia; tobie, żebyś nigdy diabełek nie dopisywał; ty, żebyś nie był w stanie utrzymywania Francuzki przy swoich dzieciach; wy, wszyscy nakoniec, a żeby tym podobne klęski na każdego z was padły. A ja z mojej strony boga tylko wezwę! I wzniosłszy oczy do góry modlił się głosem uroczystym: Boże Polski! najwyższy sędzio jęj synów! który nas ani na chwilę z oka nie spuszczaś, bądź świadkiem przysięgi, któremi zebrani w tym oto miejscu mają przytwierdzić, że jedynie powody sumienne, wyższe nad osobiste względy niepozwalają im przyłożyć się do wsparcia ojczyzny. Zwrócił się potem do biesiadników: Teraz zaczynajcie, panowie! Na te słowa śmiało i uroczyste, i pod wpływem jakiegoś dziwnego, tajemniczego ich potęgi, oniemieli wszyscy; wszystkich odbiegły przebiegłość i bezczelność. Każdy w sąsiedzie swoim ujrzał przeciwnego sobie świadka i sędziego, mniemał że stoi przed wszystkimi w całej nagości swojej duszy. W tejsze chwili grobowej niemal ciszy, postać kobiety zamieniała się z wolna w ciało coraz przezrocystsze, aż znikła zupełnie z oczu, a postać kwestarza zdawała się podrasnąć całą wielkością objawiającą się duszy, i duch tajemniczego przestachu coraz wyraźniej obwiewał zgromadzenie. — Panowie! rzekł seicha, błędny szambelan, podniósłszy się z wolna: jakaś trwoga miłe przejmuję, Mam przeczuć że podedrzwiami stoi policaj. Gadaliśmy tu o takich rzeczach. Rostropność radzi rozejść się przed czasem! — Nierozjeżdżcie się, zawołał grzmiącym głosem kwestarz, nierozjeżdżcie się aż was pożegnam. Kobieta, którąście ze mną widzieli, byłato ojczyzna. Chciała doświadczyć waszej ku sobie miłości; żądała tylko lichego grosza, i toście jęj odmówili. Słyszycie jak was żegna?... Zamilkł, podniósł rękę w górę, zwrócił ucho w jedną stronę, a groźne oczy wlepił w zgromadzenie. W rzeczy samej całe powietrze napelniało się żalosnym jękiem, jak żeby milijony głosów szlochały. — Czy myślicie, zawołał znowu, że takie pożegnanie przyniesie wam błogosławieństwo? Pić za zdrowie ojczyzny, rozrzucać się jęj piosenkami, oto wasze prace dla niej. Zebrząc nogami potraćić, wasza jałmużna. Wynaleś wymówkę od poświęcenia się, wasz cały rozum. Wasze obchody, biesiada lotrów. Wasze imiona, kłamce, tchórze, samoluby, obłudnicy, niedołężni, nikiemni! I wy chcecie trzymać przodek w jęj rodzinie? Chcecie używać wszystkich korzyści najlepszych synów? Chcecie opanować przyszłość? Niema jęj dla was! I uderzając o ziemię talerzem jałmużny: Przejdziecie, wołał, jak dzwięk tego naczynia; pamięć wasza będzie się walać po śmieciach przeszłości, jak ta skorupa. Niema dla was przyszłości jeszcze raz. Używajcie więc, bawcie się, bogacie się, podlcie się. Słyszycie ten okrzyk?... Podniósł znowu rękę w górę, a hałas, jakby wołanie radośnie milionów, rozbiegł się do kola. «Polska zstępuje do ludu! Lud wita Polskę! Skończyłem z wami!» Na domawianiu tych słów zegar uderzył czwartą poranną godzinę, odezwała się pieśń kogutów, kwestarza już nie było.

Co potem biesiadnicy mówili? co robili? oto mniejsza; bajeczka i bez tego cła. Jakże, bracia, wszak nie zła? Jedno tylko można jęj zarzucić że zapóźno ogłoszona. Napisałem ją

po upadku wiadomości wam partyzantki Wy zapewne nieo-
bejdziecie się tak z Polską, kiedy waszję pomocy wezwie; nie-
prawdą? ... Niebejdziecie takimi lotrami, jak lotry moję
bajeczki; nieprawdą?...

NIEPRZYNECISZ WRÓBLA PLEWA.

KAZANIE POLSKIE NA KAZANIE RZYMSKIE.

Papież przemówił wreszcie! Słowa jego niezdu miały nas,
ale nas pocieszyły wielce!... woła *Młoda-Polska* 12 grudnia
1839 r. Chrześcijańskie śmieć się! Jakże się nieśmiać, kiedy
papież wreszcie przemówił, a słowa jego pocieszyły wielce
ewangelistów, z *Marais St. Germain*! — Jakże śmiać się? — Jak
chećcie. Z czego śmiać się? — Tego my sami dotąd niewie-
my. Ewangelija Januszkiewicz i spółki jeszcze nam niepo-
wiedziała wszystkiego. Najsmaczniejszy kasek, same słowa
papieża, zachowała na wety. I słusznie!... Byłoby to może
zawiele uciechy na raz jeden. Nasyćmy się wprzód przygo-
towaniem do niej. «Papież, powiada *Młoda-Polska*, oszukany
przez fałszywe doniesienia Rosyji, papież, na którym natrę-
stwo rządu rosyjskiego wymogło ów list nieszczęśny, po-
tępia dziś uroczyste czyn, jaki na nim wyłudzone. Oddawna
już on w prywatnych rozmowach z naszymi posłannikami ubo-
lęwał nad swoim postępowaniem w sprawie polskiej. Cożem,
powtarza, miał myśleć o tej wojnie polskiej? Skąd miałem
wiedzieć, że Polacy są katolicy a Moskale odszczepieńcy?
Jak zaczął rosyjski poseł kłaść mi w uszy, że rewolucja pol-
ska była produktem ducha niereligijnego, ducha anarchii,
nieprzyjaźniejszego jeszcze kościołowi, aniżeli królewskiej
władzy; jak mi zaczął przekładać że Moskale *rozbiwszy* pol-
ski naród są religijniejsi, lepsi Chrześcijanie jak Polacy,
opierający się rozbojowi; jak mi zaczął oświadczać przyjaźń
swojego pana, uwierzyłem jemu, i wykląłem Polaków.» Oto
tłumaczenie się papieża przed *Młoda-Polską*. Ubraliśmy je
w inne słowa, to prawda, ale przysięgamy na wszystkie
ojczyste świętości, żeśmy wewnętrznego jego znaczenia nie-
zmienili na jotę. Stara panna niby uwiedziona niemoże wy-
rzekać na własną, kiedy swoją powolność chce usprawiedliwić
ślepa niewinnością piętnastoletniej dziewczyny. Jak zaczął
oświadczać się, prosić, zaklinać, przysięgać, przekonywać
że w tym czego żąda niema nic złego, uwierzyłam, uległam.
A jednak łatwiej usprawiedliwić starą pannę niż papieża.
Rzymie światowładcy! a twoja wszechwiedza? a twoja nie-
omylność? a życie tylu wieków? a tylu wieków doświadcze-
nie?... Młodemu wolno poszaleć, ale starym? ale tobie?...
Co na to powie mądrość boga dana ci ze słowem Chrystusa?
Wszakto ty masz być arką tej mądrości!... Co na to powiedzą
potoki krwi polskiej wyklęte przez ciebie?... Słowa Moskale,
odszczepieńca, znalazły u ciebie więcej wiary, jak mę-
czeńskie czyni narodu rozrastającego się przez tyle wieków
z korzenia słów Chrystusowych?... Wiemy naprzód, że nam
nieodpowiesz; i ty się nieznizysz aż do tego, i my tego
niewymagamy. Księga wzajemnych naszych rachunków zbli-
ża się już do końca; wkrótce się zamknie. Apelowaliśmy
przeciw tobie do boga; przed bogiem! czy słyszysz?... przed
bogiem złóż swoją odpowiedź, tam się ostatecznie rozpra-
wimy. — Ale nieunośmy się, czekajmy ogłoszenia onych słów
papieżkich, tylko ośm dni cierpliwości, a *Młoda-Polska*.....
Upłynęły wreszcie czasy naznaczone. Porywamy *Młoda-Polskę*.
Olsnił nasze oczy napis: *Przemowa ojca świętego*. Czy-
tamy, opuszczamy ręce, i zapytujemy siebie: czy *Młoda-Polska*
kpi, czy drogi pyta? Niewierzmy sobie, powtarza-
my czytanie. To samo. Zawezwani tak uroczyste do ucie-
chy, spodziewaliśmy się ujrzyć w zapowiedzianych słowach coś
ogromnego jak duch boski nad przepaściami, a przynajmniej
jak jego odbicie — duch ludzkości, coś przerażającego jak bo-
ska sprawiedliwość. Zdawało się nam, że w nich objawi się
piorun wyroku na rozbojnika dwudziestu milionów, na
gwałt zadany sumieniu całego narodu; że od grzmotu jego,
zadry cała ziemia, urodzi znowu olbrzyma krzyżowej wojny,

jak to bywało kiedyś. Zdawało się nam, że te słowa położą
w obec nieba i ziemi świadectwo polskiej prawdzie, po-
święcą męczeńską przyszłość, zwiastują w imieniu Chrystusa
życie polskiego narodu, jego prawo do życia, rozwiną się
przed nim w słup ognisty, aby go do ziemi obiecanej prowa-
dzić. Bóg wie co się nam niezdawało, bośmy się obalamu-
cili brzękiem słów, echem tryumfów *Młodej-Polski*. I oto za-
miast tego wszystkiego, gawędka: jak Rusini byli szmatkami,
mi, jak potem zbliżali się do jedności z kościołem rzymskim,
jak dzisiaj znowu się odszczepili. Kilka westchnień, kilka
sentencji, napomnienie odstępców aby się pomiarkowali, a
w końcu następna kardynałom obietnica: «*niepominiem* ża-
dnego starania u najpotężniejszego cesarza, spodziewając się,
że on według swojej SPRAWIEDLIWOŚCI I WIELKOMYŚLNEGO UMY-
ŚLU, prochy nasze i żądania przyjmie ŁASKAWIE.» Czy tak?
i na tём koniec? prosić go więc jako wielkomyślnego i spra-
wiedliwego, to już dosyć?... — Dosyć dla Rzymu, dla *Młodej-Polski*?... Ale niedosyć dla polskiego narodu. Tak Rzymie,
dobrze robisz że się nietrudzisz polskim narodem, zawiadki-
to ciężar na twoje barki. I on także pozna się już na tём.
Niewiele sobie robił z twojej kłatwy; niewielką też wagę
przywiązuje do twoich oświadczeń protokularnych. Szedł na
śmierć bez twojego błogosławieństwa, pełnił swoje powola-
nie bez twojego przewodnictwa, niepotrzebował od ciebie
przywileju na poświęcenie się, niezbłądził ze swojej drogi,
choć ty inną wzięłaś, będzie tak szedł i dalej; może nie-
szczęśliwy na ziemi, ale święty w dziejach. Był, jest, i bę-
dzie Polska, niepytając, czy na to Rzym pozwoli; nietro-
sząc się o to, czy jest na świecie Rzym jaki. Nie w Rzymie
rozpałło się jego życie, nie w Rzymie zgaśnie. Ma on w sobie
samym tyle potęgi, ciała, i ducha, ile mu do jego życia po-
trzeba. Niezginie, zaręczamy, choć niestaniesz w naszych
szeregach, choć się nas wyprzesz. Skończyła się jego chrze-
ścijańska małoletność, skończyła się twoja nad nim opieka;
Przeszedłeś z nim elementarz bożego słowa, za to ci dzięki;
ale teraz, sam już wszystko przeczyta, sam potrafi porozu-
mieć się z bogiem, lepiej może niż cała kongregacja po-
apostolska. Uczeń przeszedł mistrza. Albo tego niewidzisz?
nieomylił się tam gdzie ty się omyliłeś. Nie on za tobą, ty
za nim poszedłeś. Dobrze więc robisz, że się o niego nietro-
szysz. Opieka twoja już go ani ścierbi, ani boli, daje
tylko oszustom sposobność bałamucić słabych na umyśle,
rozrywać potęgę najpotrzebniejszej mu dziś wiary w świętość
i nieśmiertelność swojej sprawy. U nas tak łatwo gdzie chceć
wiarę nakierować. Niema w cośmy niewierzyli, w Prusa-
ka, Austryaka, Moskale, królów, dyplomacyę, dzisiaj goto-
wimy na Rzymie się oprzeć, a tymczasem nasze zbawienie
w nas tylko samych. Wreszcie cóż nam przyniesiesz w pomoc?
Potęgę ducha niebieskiego?... Ostatnimi dziejami przeko-
nywamy świat, że on bezpośrednio na nas spływa; że wię-
kszą jak ty łaskę znaleźliśmy przed nim, i w tej łasce potrafi-
my się utrzymać. Czy królów do naszej obrony poruszysz?....
Nie!... Powiedzielibyśmy przyczynę, gdybyś jej niewiedział.
Czy ludom powstać rozkażesz?... Nie!... To przeciw twojej
dzisiejszej naturze, i one jużby ciebie niezrozumiały. Odkąd
zaczęłeś słuchać królów, straciłeś posłuszeństwo ludów. Do-
brze więc robisz, że niezadajesz sobie niepotrzebnej pracy.
Jeżeli *Młoda-Polska* inaczej ci gada aniżeli my, niewierz jej.
Jestto nadskakiwanie łakomego spadkobiercy; więc ona, że
przysporzyłeś sobie cokolwiek przed długie życie, że wszyst-
kiego niezabierzesz z sobą do grobu, że zostaną po twojej
śmierci różne graty, z których przez jaki czas będzie można
użytkować, dla tego przypochlebia ci się, abyś i o niej nieza-
pomniał w swoim testamentcie; bo to prawdziwa szlachcian-
ka, próżniaczka, która tylko na chleb z cudzej pracy czyha,
ale nienapędzisz jej, żeby sama zarobiła coś dla siebie i dla
drugich. Nas lepiej posłuchaj staruszku! przeżyłeś długie
wieki, miałeś zrobić wiele dobrego, nabroileś niemało;
zgrzybiałość odbiera ci siły coraz widoczniej, śmierć się zbli-
ża lada chwila, zażądają stamtąd, z góry sprawozdania, ko-
rzystaj z drogiego czasu, uspokój się, roztrząsaj swoje su-
mienie, abyś umiał odpowiedzieć na wszystkie zarzuty, jakie
zrobi ci bóg nasz, bóg Chrystusa, a my tutaj sami jakoś sobie
poradzimy. Zresztą, jeżeli chcesz, módl się za nami, to nam
przynajmniej zaszkodzić niemoże, a my, mając czas po temu,

Odda. II

cz 3744 / 1840

odmodlimy się, prosząc boga, aby ci przebaczył na strasznym sądzie wszystko złe, które nam wyrządziłeś, a nagroził dobre. Amen.

KORRESPONDENCA Z STOLICY

à M^r Pszonka, Polonais.

Très pressé.

Adje! adje! Mości Pszonko! Pożegnaj się z kłamką naszego dworu, ona już ciebie pożegnała. Dobrze to powiedziano, że *łaska pańska na pstrym koniu jeździ*. — Cóż to znaczy? zapytasz. — To znaczy, że dano odprawę i tobie i twojemu pismu, że Pszonka przestał być gabinetowym dziennikiem. Głupstwa pocieszne ustąpiły głupstwu na seryo. *Trzeci maj* zajął miejsce Pszonki. Mamy jednem słowem naszego, nowo-babińskiego Monitora, *Monitora nowo-babińskiego* w całym znaczeniu tego słowa, o jakim dotąd ledwieśmy marzyć śmieli. Przed nim wszystko w kąt poszło, nawet *Kronika*, owa pocziwa, spokojna *Kronika*; i ona jeszcze nieodpowiedziała powołaniu królewskiego dziennika. Czy pojmujesz? ona nawet. Tym czasem tak jest, a co najboleśniej, że dano jej to uczuć w sposób niedwuznaczny, najdotkliwszy, haniebny można powiedzieć, bo odmówiono jej nadal wszelkich ze strony dworu subsydjów, a co jeszcze boleśniesz, że jej nawet wydarto z kieszeni dane. Udzielam ci tej wieści w przekonaniu, że tym sposobem stępię cokolwiek cios, który ci zadałem wiadomością o twojej nielascie, że wspólne nieszczęście pokrzepi cię cokolwiek. Dobrzebys zrobił szanowny Pszonko, żebyś do *Kroniki* kilka słów pocieszających napisał. Ty mężczyzna, i żywy i wytrwały z natury, nie ulegniesz pod tą klęską, ale ona biedna, tkliwa, czuła, zwyczajnie kobieta, nie przeniesie jej łatwo. Na tém nie koniec. Nierównie ważniejsze jeszcze mam dla ciebie rzeczy. Mamy już króla. — Alboż go niemielimy?... zawołasz. — Prawda, ale twój król nowo-babiński był bałwan napowietrzny, a nasz jest w życiu i ciele, z koroną Sasów i Poniatowskich *de facto*. Może niezrozumiesz co będę gadał, ale to nie moja wina. Więc gadam. Trzeba ci naprzód wiedzieć, żeśmy zrobili rozbrat ze wszelkimi teoryami, odrzuciliśmy wszystko co nas dotąd oszalało, zostaliśmy ludźmi praktycznymi. Sam to przyznasz jak ci się wytłumaczę, jeżeli mię tylko zrozumiesz. Otoż wpakowaliśmy w głowę Polski myśl organiczną, bo jej dotąd nie miała, uosobiliśmy pryncypium w dynastji, zrobiliśmy króla *de facto*, i zbawiliśmy Polskę. Jeżeli mnie nie rozumiesz (bo mówiąc między nami i ja sam, choć się liczę do najpraktyczniejszych polityków, nie zewszystkiem się jeszcze pojmuję) to szukaj wyjaśnienia w ostatnim zeszyte pisma *Kraj i Emigracya*, i w trzech pierwszych świstkach *Trzeciego Maja*. Ale oto mniejsza, dosyć że mamy króla. *Coup d'état! coup d'état!* szanowny Pszonko! Tak jest. I to mnie cieszy że nie widziane, niesłychane jak świat światem. Coś podobnego mogłoby tylko zrobić albo Petersburski senat, albo Janczary w Stambule; ale gdzie tam! dzisiaj jużby się to i w Stambule nieudało. Jednak zapytasz, jakim sposobem do tego przyszło? Przez rozumowanie i konfederacyę. Nasamprzód zaczęliśmy sobie rozumować, że stare republikańskie elementa rozbiły naród Polski, i wystrychnęły go na takiego, kapcana, że już niema co na niego rachować, trzeba więc, ażeby kilku lepszych niż on cały, robili za niego. Zawiazaliśmy więc konfederacyę. Potem czynie znowu poszło rozumowanie, wyrozumowane przed kilką jeszcze laty przez jenjalnego *Janusza Woronicza*. Oto, powiedzieliśmy sobie: naród polski niemoże być zbawiony bez władzy, władza niemoże inaczej zbawić narodu polskiego, tylko kiedy będzie taką jaką być powinna, ażeby zaś była taką jaką być powinna, powinna *świętą przysięgą*, złożoną w ręce dostojnej tego rodu matrony, wykonanie wiekiego dzieła swoim i następców swoich imieniem ślubować; powinna pracować przez trzy pokolenia, figurować jako największa dzisiaj figura w kraju i za granicą, reprezentować chcąc niechcąc interesa Polski, stawiać się osobistym antagonistą

Mikołajowi, *nakoniec powinna być dziedziczną*, to jest dynastyą: że zaś lud Polski nieślubował nigdy podobną przysięgą przed żadną dostojną matroną, niepracował przez trzy pokolenia, niejest największą figurą w kraju i za granicą, nie-reprezentuje chcąc niechcąc interesów Polski, niejest osobistym antagonistą Mikołaja, dla tego odbieramy mu władzę i dajemy ją księciu Adamowi Czartoryskiemu, który wszystkim warunkom namienionym uczynił zadość, i z taką lichwą, że możnaby tu znaleźć miejsce dla gminnego wyrażenia: *poczciwi wiszą*; który nadto umiał poznać się na takich jak my ludziach, nieszczęśli ofiar cudzych na druk *Trzeciego Maja*, ma się rozumieć pośrednio, a bezpośrednio daje każdej niedzieli herbatę dla jego wydawców. A *propos* herbaty? bo jak do dzisiaj najświetniejsza to za nasze poświęcenie się nagroda, pijemy ją także co środa u Narceza, nie z tych pachniących, o których może myślisz, ale u senatora, u kasztelana, u jasnie-wielmożnego, który jako największa między nami figura przez swoją dostojność i bystry rozum jest naszym orędownikiem widomym naszej konfederacyi i naszego pisma, to jest kanałem, przez który dynastja spławia potrzebne nam pieniądze. Z tego widzisz, żeśmy nie sama tylko szuja, że choć magnaci wzdragają się od nas, znaleźli się jednak i między nimi z takimi jak nasz rozumem; rzecz więc dobrze pójdzie. Pójdzie raźniej, jak nam wróci przysły nasz hetman, wtedy spodziewam się, nasz tron będzie wzrastał nie samą tylko podlewany herbatą; rozumiesz mnie. My niepotępiamy terroryzmu. Biada, biada demokratom! Nauczyci ich pan hetman, *coto gwizdać po kościele*. Niech dziś gadają o królu, co się im podoba. My tego chcemy. Złe czy dobrze, aby tylko był głośny. Z resztą nieupieramy się przy jego wielkiej mądrości, przy jego zdolnościach. W naszym piśmie wyraźnie powiedziano, że król może być głupi, że może niedołężniejszy jeszcze od naszego dokazywali wielkich rzeczy, a przez co? przez to tylko że byli królami, że zamiast czapki, albo kapelusza, nosili koronę. Ty niewiesz co to może urok korony? Najlepszy mam dowód na samym sobie. Ja jej niema, tylko myślę o niej, tylko niekiedy zbliżam się do tego co o niej myśli, a już jestem jak oszołomiony, choć téj korony niema jeszcze na świecie, choć może nieurodził się jeszcze ten złotnik co ją zrobi. Ale zanadto rozpałem się. Przebac szanowny Pszonko, przez wzgląd na chęć pocieszenia ciebie jak najdłużej moim listem. Reasumując wszelkie te pocieszenia w jednym słowie, zostaje z prawdziwym szacunkiem, twój szczerze życzliwy brat i najniższy sługa.

DYNASTYK.—Członek konfederacyi dynastycznej.

P. S. Później nadeszł ci akt naszej konfederacyi, a niezapomnij pośpieszyć z pocieszeniem strapionej, dysgracyonowanej siostruni.

BARASZKI.

Wstąpił do piekieł po drodze mu było, mawiają zwykle; terazby mówić można: *Chodził przez Belweder do Puław*. Ludwik Orpiszewski z królobójcy został królorobem!... I warteż tyle satygi dla takiego *nie*?...

—Wynalazcy dynastji mówią: Emigracya potępiła Czartoryskiego, ogłosiły go królem, a będzie kwita byka za jedyka. Prawda, ale na miejsce byka postawcie zwierzę łagodniejsze niema.

—W czasie ostatniej rewolucji zarzucono Moskałom, że nietrafnie strzelają. Nieprawda! trafnie! i to w same głowy. Bo skądżeby się wzięli wynalazcy dynastji, wydawcy *Trzeciego Maja*, i tyle innych głów postrzelonych?

—Powiadają niektórzy, że Czartoryski wygląda na polu emigracyjnej walki, jak trup Patrolka między walczącymi około niego; nam się raczej zdaje, że to jest trup Sicińskiego; jedni go drugim narzucają i odrzucają wzajemnie.

—Dynastycy powiadają, że pracują nie dla osoby Czartoryskiego, ale dla swojego pryncypium; zwrócili się zaś dla tego ku Czartoryskiemu, że on podług nich najgodniejszy to pryncypium uosobić, czyli, *wart Pac pałaca a pałac Paca*.

—Pewien opat opowiadał, że gdy jakiegoś świętego święto, tenże wziął głowę swoją pod pachę, i zrobił jeszcze dwie mile; i zaiste, dodał w prostocie ducha, któżby z nas grzeszników coś podobnego dokazał?!...—Zapewne! odrzekła pewna dowcipna dama, w takim przypadku pierwszy krok najtrudniejszy!... —Sława ci Januszu Woroniczu! zrobiliś krok pierwszy; monarchiję twoją z monarchją niosą pod pachą olbrzymy: Orpiewski, Omieciński, Czajkowski, Bystrzonowski i reszta.

—Dziwnato jest w niektórych dążność do arystokracji, rzechy o nich można, że rodzą się już z arystokratyczną żyłką. Weźmy np. lokajów, furmanów. Komu to puszyć?... A jednakże nieraz w przedpokojach wołają się nazwiskami i tytułami swoich panów, i tak: Radziwiłł zajędzaj!... Lubomirski zaprzęgaj!... Czartoryski zamiataj!... Sapieha odmień talérz i t. p. Kubek w kubek to samo powtarza się w emigracji naszój. Trafisz nieraz na indywidua ni z pierza, ni z mięsa, co uniewinniać się będą przed tobą od tych słów: »Nas mają za arystokratów.« —Chowaj boże! to potwarz!... tylko za lokajów!...

—Zapytano niedawno komisji korespondencyjnej Zjednoczenia o komitet, na to zapytanie jeden z pracujących w warsztacie komisji za całą odpowiedź pokazał figę. No! to teraz przynajmniej mamy wyobrażenie komitetu Zjednoczenia.

—W Bruxelli poczęło wychodzić nowe piśmko emigracyjne, pod tytułem: *Orzeł biały*. Na czele pisma umieścili redaktorowie wśród stosu chorągwi, kos, lanc, armat, kul, czapek, kotwic i t. d. herb polsko-litewski, a to dla tego, jak się wyrażają na stron. 8, (kol. 2^a wiersz 14 i dalej) aby emigracya spojrzawszy na orła białego, który zawsze głowę dumnie trzyma, na pogoń, która zawsze wesół galopuje, pomyślała na seryo o Zjednoczeniu. Proklamacyę tę popierając redaktorowie, dodają: że między istotami żyjącymi jedną tylko pszczołą znają, która chociaż rodzaju nijakiego, jest przecież nader użyteczną, że nawet podług ich, hermafrodyta w rodzie ludzkim jestto jakieś monstrum. Miły boże! czego też to nieodkryją ci uczeni XIX wieku!...

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE.

Jenerał Siemiątkowski zginął na saskim placu zniewolony do wystąpienia przeciw rewolucji przez pułkownika Skrzyneckiego. On, poradził Siemiątkowskiemu, wątpliwemu co ma począć z sobą, żeby się bezzwłocznie udał tam, gdzie go powoływały obowiązki szefa sztabu, gdzie go wzywało niebezpieczeństwo cesarzewicza. Siemiątkowski wahał się jeszcze; wtedy Skrzynecki rzekł do niego: «co powiesz jenerale w. księciu nazajutrz, czém się usprawiedliwisz przed nim, gdy on to wszystko uspokoi? *Allez et dites à Monseigneur que je suis corps et ame à lui.*» (M. Mochnacki, tom II, str. 76, i 77).

—Jak dalece pułkownicy oglądali się na przyszłość, Skrzynecki jest tego dowodem. Ten nalegał na Zamojskiego, żeby wystawił w. księciu, że tylko powodowany włożoną na siebie odpowiedzialnością za wszystkie skutki anarchii w Warszawie, pułk swój z Pułtusza przyprowadza dla wzięcia w kluby tej anarchii. (M. Mochnacki tom II, str. 229, i 230, w przypisku).

—Żołnierz z 4^o pułku (4^o batalijonu) strofował młodych żołnierzy o maruderkę. W odwrócenie z pod Ostrołki tak osłabił, że i sam zostawać się począł; koledzy śmieli się, że ten, co ich tak do porządku napędzał, sam się teraz ociąga. Wy się błazny śmiejecie, zawołał, otóż pokażę wam, co polski żołnierz robi, kiedy mu siła dla ojczyzny brakuje; — odwiódł karabin, i w łeb sobie wypalił.

—Pewien szlachcic galicyjski przyjął nauczyciela do syna. Byłto Czech, prawy i uczony Sławianin, a zatem gorący czciiciel wszystkiego, co tylko ludowe. Po skończonych lekcjach, nauczyciel miasto udawać się do salonu, i tam, razem z państwem ziewać, albo słuchać pogadanek o różnych komerażach, szedł sobie do piekarni, zasiadł wśród parobków i krowiarek, i przysłuchiwał się ich dykteryjkom, piosenkom, baj-

kom, które potem spisywał. Niepodobało się to szlachcicowi, pokręcił nosem, i niedługo dał pocziwemu Czechowi odpawę, mówiąc: —Coto mi za guwerner, co w chłopskim towarzystwie smakuje?!...

—Pewien emigrant przyjeżdża do szlachcica T. S. w Galicyi, i prosi o wóz i konie dalej. Natychmiast, odrzekł gospodarz, i wyszedł służbie wydać polecenie. Po chwili zachodzi pozwiązywana sznurkami odwieczną taradajką, i para jeszcze starszych od niej, okropnie wychudłych bronowłoków.—Gapiu! krzyknął szlachcic niby oburzony na fornała, dla czegoś do nowój najtyczanki niezaprzął angielzów? że też tym gamuniom wszystko gadać potrzeba! —Dobrego tancmistrza uczeń, rzecze emigrant, i bez muzyki tańcować umie.

OBCHÓD

ROCZNICY 29 LISTOPADA W STRAZBURGU.

Pisma emigracyjne doniosły to stąd, to zowąd, o obchodach tej świętej i najuroczystszej dla nas pamiątki, która można rzec śmiało, mniej więcej wszędzie sprofonowaną została rozbić kilku obozów pod różnymi chorągwiami. Jużby czas było po dziewięciu latach doświadczeń, aby miłość ojczyzny, braterstwo, i wspólna nienawiść tyranów, nabrały wzniosłości moralno-religijnej, a tém samem stały się pewnym rodzajem symbolu. Takim symbolem wiary w odzyskanie ojczyzny, jest 29 listopada; żadne przeto polityczne stronnictwa, aczkolwiek są jedynym warunkiem naszego bytu przyszłego, niepowinnyby w tę uroczystość wywieszać osobistych chorągwi; dzień ten, to trąba obozowa powołująca wszystkich do walki za Polskę; a jak niegdyś starzy ojcowie nasi dobywali szabel podczas ewangelii, dowodząc tém gotowość bronięcia religii, tak my powinniśmy wydobyć z siebie, przynajmniej w dniu tym, całą wyższość ducha, zbyć się uraz osobistych, a ogólnem połączeniem się dowieść, że pragniemy aby Polska w godzinie powstania była jedną i nierozdzielna. Tą myślą wiedzona sekcyja Towarzystwa Demokratycznego w Strazburgu, zawezwała cały ogół Polaków na uroczysty obchód 29. Dając obchodowi początkowanie nieubliżała nikomu, bo któż z sumiennych, któż z ludzi postępu nieczuje, że święcąc pamiątkę 29^o listopada przy ludowej, demokratycznej idei najwłaściwsze połączenie? To też zebranie się było liczne, gmina tylko Zjednoczenia, zwana gminą 13^o, a istotnie z 6^o czy 7^o członków złożona nieprzyszła i osobny święcił obchód. Jak dalece ten krok odpowiedział widokom Zjednoczenia? niewiemy; to pewna, że firmie jego zadał haniebne kłamstwo. Na ogólnym obchodzie pod przewodnictwem Bobińskiego Franciszka, pamiątkę dnia tego uczcili swemi mowami: Zienkiewicz Leon, Chrystowski Adolf, i Arnold Pius; wiersz zaś odczytał Siemięński Lucyan, który tu umieszczamy w całości.

Nowy-rok polski, dziewiąta rocznica,
Przyszłości matka, wita na wygnaniu
Swe dzieci: zawsze pochmurne ich lica,
Jak lica nieba w burzliwym zaraniu;
Zawsze, choć męzkim śmiechem otulona
Patrzy iza z oczu, jęk wybiega z łona;
A jako czarne ptaśtwo, wróżba słoty,
Ciagną za krajem wciąż nasze tęsknoty.

Zawsze i zawsze! choć tutaj w obczyźnie
Niebo tak piękne, i serca tak bliźnie;
Choć tutaj człowiek w praw swoich obronie,
Kartę wyzwania przybija na tronie;
I w kres postępu siłą pary zmierza;
Sny wielkich medrów do życia rozszerza
Kształcąc świat lepszy—bogdaj lepszych ludzi!...
Choć tu raj taki!.. Czemuż nieprzyludzi
Ciebie wygnać, czemu nieostudzi
Serca polskiego? — Czy twoja noc grudnia
Śród śniegów polskich, pod słomianym dachem
Milsza, widniejsza niż tu raj południa,

I dzień owiany pomarańcz zapachem?...
 Czegoż ci trzeba, by się zbyle wspomnienia,
 By zobojętnić dla strat i cierpienia;
 By kiedy carski knut dosięże głowy,
 Wydać ziewając wykrzyknik jałowy;
 I w walkach stronnictw niebiorąc udziału,
 Do swych przeznaczeń toczyć się pomału?...
 I czegoż trzeba?... tylko przestać wierzyć,
 Wpaść w przesyt, nieczuć nic, i siebie przeżyć.
 Straszneto słowa! a jednak niestety!
 Kto z nas niedoznał zdrady i zawodu
 Tam, gdzie dla swoich był wszystkim za młodu?...
 Kto się niezbłąkał w pół drogi do mety?...
 Kto z tyłu złudzeń, kto z nadziei tyła,
 Niespadł jak prorok w paszczę krokodyla?

Rozczarowani, ale nie przesytem,
 Skłócenie z losem, lecz nie z własnym bytem;
 Bez świata uczuć, a jednakże czuli;
 Skarby my swoje w żelazną pierś skuli
 Na długą drogę; tak pielgrzym ubogi,
 Gdy go rozbojnik obędzie wśród drogi,
 Przecież na tyle ma jeszcze zasobu,
 Że dojdzie cały do świętego grobu.

Odarci, zbici, na rozstajnej drodze
 Kiedyż pielgrzymi spoczną błędnej nodze?
 Wrocie? tam gruzy! z Polski Jagiellonów,
 Zostały stopnie do trzech obcych tronów.
 On gmin szlachecki, co wschód szablą trzymał,
 Co arekksiażat, carów w więzy imał,
 Jak stara zbroja, gdy piersi niekryje,
 W kącie spoczywa, aż ją rdza spożyje;
 Tak on spoczywał, gdy plemie Islama
 Karniejsza Moskwa odpięła sama;
 Tak on niesłuchał, choć burza zachodnia
 Wolala: człeka ciemnieć, to zbrodnia!
 Tak on zawierał, choć lud krzychał: zdrada!
 Królom i panom, w nocy listopada;
 I w samolubstwo ugrząwszy odwieczne
 Cierpiał porządku prawom człeka sprzeczne.
 Aż i zakończył karty swe dziejowe...
 Ale jak fenix przejdzie w życie nowe,
 W lud się przerodzi!.....

Więc jest duch, czy siła
 Gwiazda, czy prorok, co wiąże w budowę?...
 Bo choć sklepieniem przeszłość się zwała;
 Bo choć wstąpił w życie podgrobowe,
 Będzie ci gwiazdka jakaś w dali tliła,
 Będzie rozmawiać z tobą wróżka tajna
 W lodach Nerczyńska i kaźniach Kufstajna,
 Na placu śmierci w Konarskiego twarzy.
 Wielka jak Polska, taka myśl się żarzy;
 Na świat promieniami odstrzela mu z czoła,
 A lud padając: święty! święty! wola

Naprzód więc, naprzód! — Poświęceń bez końca!
 Przekonań serca, płomienistej wiary,
 I prawd żyjących, jaśniejszych od słońca,
 Oto są nasze sztandary!
 Z niemi pojedziemy dziś, jutro, czy kiedy,
 Czyści probierzem ogniem klęsk i biedy,
 Mądrzy w myśleniu spędzonymi laty,
 Mężni jak święci wyznawcy na stosach,
 Których widokiem kajaly się katy....
 Za gwiazdą Polski, co tam lśni w niebiosach,
 Przyjdziem z zachodu, niosąc skarb bogaty
 W dań narodzonej dziecinie — ludowi;
 Pokornie przed nią uderzymy czołem,
 Dłoń z dłonią spleciem i stanijemy kołem,
 A bóg przymierze z swym ludem odnowi.
 Bo lud umęczony, jestto lud wybrany,
 Na apostołstwo w świat będzie wysłany.

Patrzcie! czy potop rozlał się po bloniu,
 Czy dzwon wiecowy brzmi z sławiańskich czasów?
 Ze z Karpat gór, Litwin z ciemnych lasów,
 Ze Ukrainiec na stepowym koniu,
 Mazur z swych piasków wyskoczył... Ha! zbrojni!
 I jak potęga spokojni.
 Twarze jeden duch okrasza:
 Polska nasza! wolność nasza!
 Bratnia miłość! święta zgoda!

Od naroda, do naroda!...
 To lud, czerniawa, od Odry do Dźwiny,
 Niby wąż olbrzym, w kręgi swoje bierze
 Cytadelle, twierdze, wieże,
 Przeszedł.... i tylko ruiny!....
 Padli ciemnieć! Nieba błogosławią
 Zawsze ludowi gdy kajdany łamie;
 Lecz samolubom, co sobie tron stawia
 Na karkach bratnich, bóg usuwa ramię.

PRZESTRZEŻENIA.

Polska uciśniona dostarcza codziennie nowych emigracji członków. Niektórzy z nich, mając być skompromitowani w sprawie demokratycznej polskiej. Tym, którzy są rzeczywiście takimi, należy się najwyżej, braterskie współczucie nasze. Ale dochodzą nas wieści, że zjawiają się po zakładach emigracyjnych i tacy, którzy wystąpiwszy zrazu w charakterze tak skompromitowanych, zaczynają z czasem odzywać się niekorzystnie, o nauce, za którą niby na tulactwo poszli. Takich, słusznie podajemy podejrzeniu emigracji. Przypominamy, że Mikołaj ma zwyczaj po każdym ważniejszym zdarzeniu w kraju, wysyłać do emigracji swoich emisariuszów. Tak było przynajmniej po partyzantce Zaliwskiego, po męczeństwie Zawiszy, po zajęciu Krakowa, czemużby być nie mogło po bohatyrskim zgonie Konarskiego? Wszakże nas tak łatwo męczeństwem ująć, poświęceniem się zobowiązać. Bądźmy pewni, że Mikołaj ciekawszym jest, aniżeli niektórym z pośród nas wydawać się może; że dla niego, najmniejsza wiadomość o nas, o naszych nawet czystorodziennych stosunkach bardzo są pożądane. Miejmyż się na baczności.

Przed kilkunastą dniami przytrzymany został w Strazburgu *Pietraszewski Michał*, o którego niegodziwym postępowaniu doniosły już pisma emigracyjne: w sprawozdaniu komisji śledczej w Londynie i w okólniku Polaków przebywających w Chalons nad Marną. Niegdyś przeciągał on wzdłuż i wszerz Francję, Anglię i Belgię w charakterze emigranta polskiego, pod rozmaitemi przybranymi nazwiskami, a mianowicie: Drozdowskiego, Szymańskiego, Szumańskiego, Burby i t. d. tą razą udawał oficera moskiewskiego, skompromitowanego przez związek odkryty w korpusie generała Gajzmary, i tą rolą exploatował sympatję Francuzów i Polaków-emigrantów po nad granicami Belgii i Niemiec. Przytrzymany w Strazburgu przez miejscową policję francuską przyznał się do wszystkiego. Onto rozpisywał owe listy z Sedan i z Longwy od oficerów moskiewskich, i był autorem całej baśni o przybyciu i wypędzeniu ich z Francji do Belgii i znów na powrót. Znalezione przy nim siedem paszportów na rozmaite nazwiska. Wytoczono kilka procesów o oszustwo i kradzież, i ma być podług prawa sądzony. Że jednak może się wymknąć, jak to już mu parę udało się razy, i nowymi oszustwami krzywdzić imię emigranta-Polaka, załączamy jego rysopis: Rodem z gubernii wileńskiej, powiatu wilkomirskiego, chodził do szkół do Traskun, służył potem w huzarach moskiewskich; lat około 40, blondyn, rysy twarzy czysto-moskiewskie, wzrost dobry, nosi się pochyło, jedną nogą powłóczy, mówi po polsku akcentem litewskim, pisze brzydtko i niepoprawnie; z czasów powstania opowiada ze szczegółami odwrót Dembińskiego z Litwy.

PSZONKA

PROSI

OBYWATEL,

KTÓRYCH

TYM POLARKUSZEM NAWIEDZA,

ABY MU DALI

NIEZWŁÓCZNĄ WIADOMOŚĆ,

franco,

CZY GO UPOWAŻNIĄJĄ.

DO DAJSZYCH ODWIEDZIN.

Uniwersal Konwokacyjn.

MY, z PSZONKI łaski, PRYMAS KORONNY BABINA,
 Kiedy spór o koronę na nowo się wszczyną,
 Kiedy wojna domowa pochodnię zapala,
 Brat braterską budowę burzy i rozwała,
 A w ręce nasze losy złożone są Państwa,
 Drogi klejnot Szlachectwa, byt trwały Poddaństwa!
 Jako obrońcy tronu gorliwi i szczerzy,
 Każdemu, komu o tém wiedzieć przynależy,
 Wiadomo dziś czynimy przed świata obliczem,
 Że po ścisłej rozwadze z światłym Woroniczem,
 I imiennika jego zasiągnąwszy zdania,
 Zważywszy ich na piśmie skreślone podania,
 Pretendenta ADAMA literackie mowy,
 Gdzie wyrzeka się tronu zamglonemi słowy;
 Zważywszy, że na BABIN zbyt łaskawe nieba,
 Dały mu kandydatów więcej niż potrzeba,
 I że grzechemby było, gdy czas jest po temu,
 Przez ucieczkę do prawa niezapobiedz złemu,
 Zwłaszcza, gdy nam nietajna rozterek przyczyna,

Trzymając się oddawna utartej kolei,
 Wiedząc że *vox populi* jedno co *vox Dei*,
 Zwołujęm elekcyę na pola BABINA.
 Tam niech się z pretendentów nowych każdy stawia,
 Z swych zamiarów i zasług powszechności sprawia,
 Tam senatorskie krzesła i szlacheckie krzyki,
 Jezuickie westchnienia i ciurów okrzyki,
 Same najlepiej wskażą kto ma królem zostać,
 Kto nas będzie miał prawo zdradzać, więzić, chłostać,
 Kto nowęj Targowicy uświęci zamiary,
 Carom pod nogi rzuci naszą broń, sztandary,
 I zgładzi ślady niecných Państwa burzycieli,
 Co je przez wolność Ludu potężnem mieć chcieli!
 Wzywamy was Wielebni, Jaśnie-Oświeceni,
 Jaśnie-Wielmożni, Możni, Szlachetnie-rodzeni,
 I uprzejmie prosimy bracia nasi mili,
 Byście się do wyborów koła przybliżyli,
 I w gotowej do dzieła babińskiego szopie,
 Króla bez państwa przykład dali Europie.

BABIN, w miesiącu Lutym, czterdziestego roku.
 (Podpisano) PRANIEWICZ PRYMAS, a na boku
 CZAJKOWSKI PODKANCLERZY, MIESIĄCZEK KAPELAN,
 Za zgodność: CONSTANTINUS WORONICZ SZAMBELAN,
 Pozwala się drukować: JĄSKO OMIECIŃSKI,
 A na miejscu pieczęci: CHŁOP z PUŁAW JAN CZYŃSKI.

ADAM I W TRZECIM AKT.

SCENA LIRYCZNO-KOMICZNA,

NAD BRZEGAMI SEKWANY.

(We 3 częściach).

CZĘŚĆ I.

(Pokój ubrany w guście wschodnio-zachodnio-północnym;
 na kobiercu tureckim przy krzesłach, kanapach i berżerach
 okrytych jedwabiem lyońskim leżą skóry niedzwiedzie. W
 środku stół zastany zielonem suknem, na nim pióra, kata-
 marze, gazety, broszury, i t. d. W kominie węgli co nie mia-
 ra, bez ognia.)

MACIEK (wchodząc ze świecami). Jaśnie wielmożny obywatel
 jeszcze pociemku.

HRABIA (obudzony zrywa się z krzesła). Ha!... hultaju!...
 chłopie!... chacie niepoprawny!... hola!... ja ci tu po-

każę, coto pana twego zwać obywatelem!... Ho!... De-
 mokracya wlażła ci w głowę; ja ci ją wypnę ogonem!...
 Panie Wyskierko - ekonomie! wyliczyć mu sto urzędo-
 wych. (Maciek co tchu zmyka za drzwi).

HRABIA (sam, przecierając oczy). Przebóg! gdzież to ja jestem!
 Jeszczeż w Paryżu?... Jeszczeż na emigracyi?... (pada na
 kanapę). Ach! co za sen!... (mruczy pod nosem).

Miła oku a liczny ożywiona płodem,

Witaj kraino, mlekiem płynąca i miodem! (wzdycha).

Wolyn, Ukraina, Podole, ziemie moje, dobra moje,
 chłopcy moje! Ach! przekłete chamisko!... Co za rajskie
 widzenie! (ogląda się, wodząc rękami po kanapie). Cha,
 cha, cha! Sen mara!... O nie! sen, to tajemnica!... Sen,
 to przepowiednia!.. Ten *portefeuil* oprawny w safian czer-
 wony; ten napis złotemi, wielkimi literami: *Minister*
Oświecenia; ten tłum sług, postulantów, piszczyków,
 urzędników, dziennikarzy, profesorów i panów w przed-
 pokojach; te okrzyki po ulicach Warszawy oświeconej (za
 mojego departamentu wpływem), licznymi rewerberami:
 Niech żyje Adam I, król polski! Ah! *cher comte!* (gła-
 dzi się po brodzie) *c'était ravissant!* Przekłete-chamisko!

Zniszczyć tyle obrazów i zepsuć mi humor na cały wieczór! (Dobywa z szafy grubą księgę i pisze) «Dnia 21 listopada 1839 roku Maćkowi 100 batogów». (Przezieraając księgę) Piękny rachunek do wypłaty w kraju! (Po chwili milczenia, przechadzając się posuwistym krokiem po salonie) Tak! monarchija nie *demokratyczna*, to nonsens! nie *konstytucyjna*, bo i coż proszę, warta francuzka? Nie!... monarchija dzielna, sprężysta, *tranchons le mot*, absolutna! *et pourquoi pas?* Jeżeli gdzie to w Polsce takić trzeba! Pan Janusz dobrze myśl moja pojął! jęć tryumf zapewni się przedź lub późnić. Czartoryski, czy Ostrowski, czy diabeł, to mi wszystko jedno, dopóki rzecz w teorii. Kto buduje tron, ten sam królem być może! *et pourquoi pas?* Dogodzić próżności jednych, nakarmić, napoić, zapłacić nawet drugich, hyle idąc monarchii ugrunтовać, to mój plan! A wreszcie gdyby i na ministerstwie skończyć przyszło! no! to coż?.. To i tak, przy hrabstwie, senatorstwie, kasztelaństwie byłoby jeszcze pół biedy! (dzwoni).

MACIEK. (otwierając drzwi) Słucham jāsnie wielmożnego pana!
HRABIA. Woda, samowary, ciasta, biszkokty, wszystko mieć w pogotowiu, gości *anonsować*!

MACIEK. Panie, już czterech od półgodziny w przedpokoju czeka; nieśmiało panu przeszkadzać.

HRABIA. *A la bonheur!* (do siebie) Niech czekają, to nieszkodzi, (do Maćka) zapal w kominie i proś tych panów!

CZĘŚĆ II.

(Podwoje się otwierają, po długich naradach i ceremoniach czy wchodzić i jak wchodzić; kto po kim, kto przed kim, wsuwają się rzędem do salonu trzy surduty i jeden frak z białymi rękawiczkami.)

HRABIA (chwytając za białe rękawiczki). *Cher Louis!* pozwól niech cię uściskam! Czyż można *ne pas se faire annoncer aussitôt!* Ach! przepraszam, przepraszam! (przykładając szkielko do oka) Pan Janusz, dalibóg, co raz to ładniejszy, niepoznałem. I pan Michał zawsze dziarski i jurny jak kozak! (sciska za ręce. Zbliżając się do czwartego.) Kogoż mam honor witać?

DWA SURDUTY I FRAK RAZEM. To nasz brat! a imię jemu Jan!
(Hrabia i pan Jan kłaniają się sobie).

HRABIA (do Maćka) *Avancez* krzesła do komina. (Do gości), Niech panowie raczą siadać (siadają).

PAN JANUSZ (po chwili ogólnego milczenia). Jakże zdrowie pana hrabiego?...

HRABIA. *Pas mal*, dziękuję. Obiadek u Werego, stary węgry przy kominku u siebie, to najlepsze zdaniem mojem lekarstwo na tęsknotę za kochaną ojczyzną. Od dwóch lat jak się kuruję tą metodą, *je me sens soulagé.*

PAN MICHAŁ. Wódeczki pan hrabia niepija?... Nasi Zaporozcy temi tylko żyją. To też silne juchy jak żubry, a zdrowe jak ryby, a czerwone jak rydze.

PAN LUDWIK (przerywając). Nieprawdaż hrabio, *que c'est une charmante femme que là...* (ucinając nagle), co za dobór ludzi! *quel luxe!* jak *toute la soirée* szła sztykownie! (patrzeć zyzem na Michała) jak wszystko powiedziano grzecznie i w porę! *Voilà ce que c'est que l'aristocratie! la vraie aristocratie!* To aż miło!

HRABIA (sciskając pana Ludwika). *Cher ami!* to prawda—co za wieczór? *mais j'avoue que j'aime mieux encore* samą panię, jak jęć wieczory; *quelle taille! que de grace!*

PAN JAN. Czy szanowny pan hrabia słyszał o ukazie Mikołaja co do unii w Polsce? *Quel bissurman!*... (śmiech powszechny).

HRABIA (zrywając się z krzesła). To nie śmiech mości-panowie! Ojczyzna i religija to są moje, to wasze powinny być żywioły. Na opecie zbuduję kościół i tron, powiedział Piotr święty, a kto te budowy kruszy, jest bissurmanem, powtarzam ja z panem Janem (pan Jan kłania się). Polszcze trzeba króla, takie są wyroki opatrności i pana

Janusza, i moje! (do siebie) On mnie okradł z myśli pisząc swoją broszurę (pan Janusz się kłania). Nieprawdaż panie Ludwiku, panie Michale?

WSZYSZY RAZEM. Prawda! prawda! prawda! Niech żyje król Polski hrabia... he!... książę Adam I niech żyje!

HRABIA. Uczuciom waszym dzielnie odpowiadają wasze piersi, ale mnie idzie o głowy, a przynajmniej o miny i czupryny.

WSZYSZY RAZEM. Patrz hrabio na te wąsy i fryzury! (Pan Michał kryje swą łysinę w garści).

HRABIA. Otoż dla tego też panów tu zawezwałem. Powieści kożaczce mnie zajęły, Wernyhora uraczył, Kirdżali rozjuszył. Zemsty i krwi trzeba, żeby króla w Polszcze posadzić! Romantyczno-polityczna peregrynacja pana Ludwika dowodzi, że jest talencik i że się zna historyjka! Lecz pan Janusz pierwszy uderzył śmiało i w samo centrum. Filozofija, metafizyka, loika i kosmografija tak się w *Rzeczy jego o Monarchii i Dynastji w Polszcze* do polityki wpiły, że aż miło? Tak pojęta politykę mości-panowie, trzeba upularyzować, *la faire passer dans les masses*, trzeba jednem słowem dziennika.

WSZYSZY CHÓREM. Jasnie wielmożny hrabio! tak jest! to prawda! trzeba dziennika! dziennika!

HRABIA (stojąc i uroczystym głosem). Zwoli i w imieniu przyszlęj jego królewskiej mości Adama I, ja niski jego sługa, hrabia, senator i kasztelan, funduję i zakładam kosztem własnym lub pożyczonym, dziennik poświęcony interesom monarchii dynastycznej w Polsce (oklaski). Postawiony pod firmą 3^{go} Maja, mówić on będzie w duchu tej nowej epoki, która się w dniu wielkim 3^{go} maja rozpoczęła:

1. Przywracając i nadając przynależne prerogatywy koronie.
2. Zwijając i krępując zbyt szerokie skrzydła uzurpowanej przewagi republikańców.
3. Rozszerzając na naród znacznie upokorzone prawo szlachectwa.

Opiéając się na tak pięknej konstytucji, nasz 3^{ci} Maj bronić będzie monarchicznej formy rządu, i dynastji narodowej w familii dziś miłościwie żyjącego z nami na tułactwie księcia Adama a przyszłego króla polskiego! (nowe oklaski).

WSZYSZY CHÓREM. Zoda! zgoda, zgoda!

HRABIA. Kto z panów powtórzy to, com powiedział?

PAN LUDWIK. Ja panie hrabio! Ja!

HRABIA (po wysłuchaniu). Wyśmienicie! Mam honor nominować pana redaktorem naczelnym.

PAN JANUSZ (pocichu do hrabiego). A ja?

HRABIA (do ucha pana Janusza). Ja i pan, pan i ja, to jedno i to samo! *Comprenez-vous?* (głośno) Pan Janusz, jako współzałożyciel wspomnionego dziennika, reprezentować będzie stojąc między mną a panem Ludwikiem *principium konserwacyjne*. (Obracając się do pana Michała) Wasan dobrodziej będziesz nam ciął *feuilletony*.

WSZYSZY RAZEM. A pan Jan?

HRABIA. Pan Jan!? piękne imię, znam już w części i sentymenta. (Do pana Jana) Pan będzie, jeśli mu to przypada do gustu, zawiadował interesem zwątlonego kościoła w Polsce.

PAN LUDWIK. Mości hrabio! W imieniu obecnych tu współkolegów i kollaboratorów przysięgam ci na *rdzenność* i sprężystość redakcyi, której mam honor być naczelnikiem. Za monarchiję, za dynastję, za księcia-pana, księżnę-panię, księżniczkę-pannę, książątka, i za ciebie hrabio, gotowi jesteśmy i będziemy pokruszyć nasze łby i pióra, kiedy przyjdzie pora, ale teraz trzeba by zdaniem mojem wpakować w nasz prospekt kilka wyrazów takich, jak *duch demokratyczny, lud, wolność* i t. d., żeby gawiedzi, coto w emigracyi i w kraju już tym tylko językiem gada, gardło jakoś zatknąć.

HRABIA. Nie! to być niemoże. Toby nadwierało nasze *principium*. *Ce serait saper la monarchie dans ses basses.*

Hobbes i Machijawel nie tak myśleli jak pan, ale tak jak ja! Przeto powtarzam i utrzymuję... (Maciek wpada z hiletem).

HRABIA (rzuciwszy okiem). *Ah! quel bonheur!*

MACIEK. Czy pan da odpowiedź?

HRABIA. Idę, biegnę, lecę natychmiast, *mon chapeau et ma canne* (krząta się po salonie i śpiewa).

Licem mleczna jak kwiat kaliny,
Kibicią smukła jak goral,
Rumieńcem krasna jak żurachwiny,
A usteczkami koralowa jak sam koral,
Milutka, słodziutka jak Atalanta
Mais z urodzenia ce n'est qu'une galanta.

WSZYSCY (oprócz Michała który stenografował, podczas gdy hrabia śpiewał). Brawo! brawo!

PAN MICHAŁ (do siebie). Z kiepskich wierszy najlepsza robi się proza (chowa papier do kieszeni).

HRABIA. Bądźcie zdrowi! jedzcie, pijcie, przyjmujcie gości, do widzenia, za godzinę.

WSZYSCY CHÓREM. A monarchija? czy koniecznie absolutna?

HRABIA. W zasadzie! Co do form, to wasze dzieło! Adieu! *Quel bonheur! quel bonheur!*

Licem mleczna, tra la la, tra la la, (śpiewając i podrygując wychodzi).

CZĘŚĆ III.

(Maciek wnosi ciasta i herbatę. Redaktorowie rzucają się od stoliczka do tacy. Krzyk, hałas, śmiechy, jakby ich było czterdziestu.)

PAN MICHAŁ. Pocziwie hrabisko! to mito dusza! jedrna jak kapusta, przezroczyta jak bursztyn. Pan dumny rodem i i znaczeniem, ale dobry Polak. Nieprawdaż panie Janie?

PAN JAN. Wszystko to dobrze, ale o grosiwie za redakcyę ani pisał. Darmo pióro ciągać po papierze, toby było haniebnie, przynaj sam panie Michale!

PAN JANUSZ. Mości panowie! Zapłata za waszą pracę będzie so-wita. Hrabia dostał świeżo pieniędzy. Chce je pono dać w połowie na jakiegoś tam *verificatora*. Do nas należy całą masę w kasę 3^{io} Maja zwrócić. Więc pracujemy.

PAN LUDWIK. Prospekt, to moje dzieło. Plan redakcyi, jeśli chcecie, przyjmijmy następny: N^o 1^{szy}: Ogólniki, pochwała pana Janusza przez pana Jana, i banaluki pana Michała. N^o 2^{gi}: Ogólniki, pochwała pana Jana przez pana Janusza i banaluki pana Michała. N^o 3^{ci}: Ogólniki, pochwała pana Ludwika przezemnie, lub którego z was, i banaluki pana Michała. N^o 4^{ty}: Ogólniki, pochwała pana Michała przez niego samego, i jeszcze banaluki albo księżna Anna, i tak następnie. A wszystko dla dobra kraju, i w interesie dynastji.

WSZYSCY CHÓREM. Zgoda! wiwat zgoda!

(Maciek otwiera podwoje i wpuszcza dwóch posłów, trzech majorów, czterech artystów, i z pół tuzina różnych uczniów).

PANOWIE JANUSZ, LUDWIK, JAN I MICHAŁ (między sobą). Sekret, cyt! ani słowa o tem wszystkim gawiedzi (rozbiegają się, witają, dzielą na grupy).

JEDEN Z POSŁÓW. A pan hrabia?

KILKA GŁOSÓW RAZEM. Gdzież pan hrabia?

PAN JANUSZ (w głos i z powagą). Depesze ważne z Anglii przyszły do księcia-pana. Wezwany w tej chwili pan hrabia jest na radzie. Rzeczy są wielkiej wagi mości-panowie!

KILKA GŁOSÓW. Zdadni, pracowici, niezmordowani, pomimo wiek i skolatane rozmaitemi przygodami zdrowie. Takich książąt, takich hrabiów, daj nam boże co najwięcej.

JEDEN Z POSŁÓW (do pana Michała). Co téżo za depesze? wszak pan bywa u księcia.

PAN MICHAŁ (zaambarasowany). Tak, czasami... Ale ja kozak i autor, a niepolitykowiec. Powiadają, że Ibrahim-basza znowu się naburmuszył... że Polszcze coś się z tego okroi... Ale pan wiesz, że w polityce, to jak w babilońskiej wieży, ani składu, ani ładu stamtąd wyciągnąć niemożna.

Mnie się zdaje, że sultana trudno będzie przekabacić!...

PAN JAN. Sultana, to demagog, to teoretyk, to utopista, człowiek bez religii i bez wiary. Jabym mu wziął państwo, a dał wioskę. Naszym sprzymierzeńcem niedowiarek być niemoże. Namby trzeba, żeby gdzieś się znalazł nowy kapral w szaraczkowej kapocie.

MACIEK (otwierając drzwi). Pan hrabia!

HRABIA (w przedpokoju, popychając przed sobą opasłego barda, autora *Uwag nad Polską, mową ustną i wiazaną*). *Passez Monsieur l'abbé, passez!* Ale proszę! (wychodzą do salonu, zgromadzenie z religijnym uszanowaniem wita przyszłego prymasa Polski).

JEDEN Z POSŁÓW DO HRABIEGO. No, i jakże stoi... interes któryś-cie teraz obrabiali? Mowiono mi żeś popierał silnie... A trzeba przyznać, że w naszym wieku mieć do czynienia z taką delikatną panią...

HRABIA (zmieszany). Z jaką panią P...

JEDEN Z POSŁÓW. Z monarchiją!

HRABIA (odetchnąwszy). A tak, weale delikatna, ale będzie to jakoś.

JEDEN Z GRONA. I na kiedyż pierwszy numer 3^{io} Maja.

HRABIA. Na 10^{go} grudnia.

PAN LUDWIK. Ale panie hrabio!

HRABIA. Na 10^{go} Grudnia, *c'est dit, je le veux ainsi Monsieur!*

WSZYSCY CHÓREM. Wiwat! wiwat! wiwat!

JEDEN Z POSŁÓW (do przyszłego prymasa). Książd *l'abbé* raczy dzień ten tak święty, tak uroczysty, rymem stosownym unieśmiertelnić.

WSZYSCY CHÓREM. Prosimy! prosimy!

(Maciek wytacza pijano. Prymas się wymawia, broni, narzeczcie siada, akorduje, dobiera na nutę: *Czartoryska, tronu bliska, iska... ska... i śpiewa*.)

Trzeci maj dziś w listopadzie
Poczęły szcudrota pana,
Postawi w królewskiej radzie
Jasne imię kasztelana.
Tak Piast i Rzepicha } bis.
Poprzedzili króla mnicha.

(Długie oklaski. Pan Michał stenografuje. Wszyscy rzucają się w objęcia barda. Maciek wnosi ponczki, herbatę i karty).

BARASZKI.

Cieszymy się niewypowiedzianie, że emigracya wraca przeciw do rozumu, mówił jeden z dygnitarzy nowo-babińskich. — Jakżi dowód? spytał ktoś z boku. — Odwoływanie podpisów przeciw księciu Czartoryskiemu. — A nazwiska odwołujących? Czyński, Święcicki, Bońkowski. — No, to pan bóg cud pokazał na nich, bo powrócił im to, czego nigdy nie mieli.

— Jak car moskiewski rachuje swoich poddanych na dusze, tak w państwie nowo-babińskiem na uszy. I tak z powodu świeżego naturalizowania się kilku osób powiadają tam: Przy-bło nam znowu kilka par uszów.

— Królórób Woronicz (Janusz) pisze, że «pod zasłoną le-« targowego snu, jakim pod Augustem III usnęła Polska, « przyrzadzali sobie książęta Czartoryscy narzędzia do wiel-« kiego dzieła, » to jest: do wyniesienia się na tron polski. Przyrzadzenie to i narzędzia tak były sumienne i pocziwe, że wedle pamiętników księdza A. Kitowicza, (str. 71) familija Czartoryskich już w 1763 r. za zdrajców ojczyzny miała być ogłoszoną. Rok 1763 przeminął, ale przysłowie: *Co ma wi-sieć nieutonie*, do dnia dzisiejszego zostało.

— Najtrudniejsze początki, mówi stare przysłowie, i praw-da! Zaledwo Janusz Woronicz wystrzelił króla polskiego w osobie księcia Adama, aż oto imiennik jego, Konstanty Woronicz, wypalił drugiego w osobie Wojewody Antoniego Ostrowskiego. No! to dzięki bogu mamy na raz trzech królów polskich: Mikołaja, Adama i Antoniego, trzy osoby a jeden diabeł.

—Na broszurkę Konstantego Woronicza: *Rzecz o najwłaściwszej dynastji dla Polski*, prowadząca pod ręką na tron liberalny wojewodę Ostrowskiego (jak się pompacyjnie *Młoda-Polska* wyraża), pokazała się również ciekawa odpowiedź Krystyna Ostrowskiego. Broszurka i odpowiedź od długiej zaczynają się przemowy. Jedna dowodzi potrzeby monarchizmu, druga huczy na piśmiennictwo emigracyjne. Jedna i druga, jakby półgębkiem, puszcza w końcu dopiero ostatnie słowo, dla którego obie napisane były. Powiedzieliśmy że *wart Pać pałaca, a pałac Paca*, gdyby broszura Konstantego Woronicza z większym taktem i przyzwoitością, mimo śmieszności przedmiotu, napisaną nie była. Widać że papa musiał być w Wersalu kiedy się odpowiedź Krystynkowi wysłiznęła. Winszujemy wojewodzie że syna będzie miał uczonego, kiedy już teraz cytuję Owidjusza, czyta Homera i Teokryta, i dewizę kładzie z Petrarki. Ciesz się Polsko! raduj się Woroniczu! nauki zakwitną, kiedy na Krystynka kolój panowania przyjdzie; żeby tylko poprzestał po francuzku mordować Mickiewicza. Wprawdzie szumi trochę panicz, ale to wina szanownego posła Antoniego, lub dostojnego mecenasa, że w nieobecności papy na to pozwolili. Czyż nie było kogokolwiek pod ręką z liczego towarzystwa do fabrykowania prawd historycznych, żeby tę okupację poprawił. Gdyby też któremukolwiek z pism emigracyjnych przyszło na myśl wżąć na seryo tę rekreacyjną swawolę i zapytać panicza, co mu daje prawo do poniewierania emigracyą. Czy to że francuzkie kantaty pisze i że w czarnym fraku i białych rękawiczkach asystuje papie co rok na obchodach. Niechno panicz niehula, ale siadzie i pogada z nami co umie, wie i myśli. Ale panicz brzydzi się polemiką, paniczby chciał podklamować troszkę i na tém koniec, panicz napisał wszystko co wiedział, niech się no panicz zobaczy z papą, a zobaczmy co papa na to powie że się synek pospieszył! Dobranoc!...

—Zasła omyłka druku w układzie tytułu do świstka bruxelskiego, to jest: złożono *Orzeł biały* zamiast *Osiel biały*. Jesteśmy uproszeni do ogłoszenia tego sprostowania.

—Stanisław Malinowski na dowód, że jest godnym posady

w jeneralnym pocztamcie *Zjednoczenia*, czytał na obchodzie 29 listopada w Poitiers, sześć arkuszy waryacyi swego układu. Atakowany redaktor francuzkiego poitierskiego dziennika: *L'Écho du Peuple*, żeby parę wyjątków z onych waryacyi umieścił: *c'est trop mistique pour nous*, powiedział i odmówił przyjęcia. Za to *Osiel biały bruzelski* (lubo również niezamieścił wyjątków) nieszczędził ogólników wonnego kadzidla, zapewnie, aby owa bajka o tańczących zwierzętach bajką nadal nie była.

—Ktoby mógł myśleć? że kom. kor. zamiast przyspieszać, będzie zwłóczyć wybór komitetu. A jednakże tak jest niezawodnie. Spytany St. Malinowski dla czego teraz jest za odwłoką, kiedy przed niedawnym czasem był za przyspieszeniem? — Bo w *obecném położeniu*, rzekł, musiałby wejść do komitetu, przynajmniej jeden z braci Odyneckich, a żaden z nich niema do tego zdolności. A więc uczony autor *waryacyi sześcioparkusowych*, jest zapewne za odłożeniem wyborów komitetu do czasu, w którym sam zajmie *obecne położenie* braci Odyneckich. Bravo! Dobry urzędnik przedewszystkiem myśli o sobie.

WEZWANIE.

W okólniku kom. kor. (N° 1787), znajduje się list bezmieniowy o sposobie pojmowania prac emigracyjnych w kraju. Autor listu, niedawno z kraju przybyły, jest emigrantem, niemożę się więc obawiać skompromitowania w obec nieprzyjaciół ojczysty, a że co mówi o kraju, chce podawać za pewne, wzywamy zatem kom. kor. o wymienienie autora. Niech emigracya zna swoich przestrzegaczów i nauczycieli. W przeciwnym razie Pszonka wyręczy kom. kor. i powie emigracyi, jakie autorowi rzeczono listu dawał kraj rady przy pożegnaniu, przez co właśnie pojęcie kraju o emigracyi najlepší się wyjaśni. Tymczasem, aby dać dowód, że *nieciągniemy na lisa*, oświadczamy że wiemy, iż list o którym mowa, był pisany w Paryżu przy ulicy *four s. Germain*, n° 5, pod wpływem jednego z członków kom. kor.

W numerze 8^m Pszonki zamieściliśmy między innemi, artykuł żartobliwy, pod tytułem: *Wspomnienia z rewolucyi i t. d. przez Franciszka Grzymale*. Redakcyja Pszonki oświadcza, że zamieszczając wspomniony artykuł, nadesłany jęj przez jednego z korespondentów nieznana dokładnie szczegółów życia ob. Grzymala, a przeto nie była w stanie dostrzedz, że niektóre miejsca mogły być wzięte za ubliżające mu w sposób przechodzący granicę żartu. Dziś oświecona w tym względzie przez wiarogodne osoby, jako też upoważniona przez samego korespondenta, pospiesza chętnie ze sprostowaniem i objaśnieniem tego, czemu złośliwość mogłaby nadawać barwę niekorzystniejszą, niż jest w samęj rzeczy. Redakcyja Pszonki wierna staropolskiej szczeroci, niema zarozumienia i uporu obstawać przy omyłkach, których sprostowania słusznosc wymaga, tém bardziej że ob. Grzymala położył niejednokrotnie rzetelnie zasługi w sprawie ojczystej, niejest i niebył nigdy Babińczykiem, polityczne jego opinie były zawsze szczerze i jedne, to jest dobre Polaka i demokratyczne. Jeśli więc znalazło się co w Pszonce, co by Babin zanadto uradowało, przykro Redakcyi że się do tego mimowolnie przyczyniła, i chce to niniejszem wynagrodzić. Samo proste wyjaśnienie jednych wzmianek, które przez zbytnią krótkosc były ciemnymi okazać się korzystnym ob. Grzymale, drugich sprostowanie dopełni rzeczy. I tak, w księdze I^{ej} mniemanęj biografii powiedziano: *Wspomnienia przedrewolucyjne. Astrea. Sybilla*. Wydawanie tych pism w duchu narodowym i liberalnym, pod okiem surowej cenzury, obok przesładowań ze strony Wo księcia czyni rzetelny zaszczyt redaktorowi. *Obiad w Jabłonnem* a raczej na drodze do Jabłonnem: Ten obiad mający miejsce na trzy miesiące przed rewolucyą dany był przez literatów warszawskich dla jednego literata zasłużonego, przybyłego z prowincyi; miał on także cele polityczne; znajdowali się na nim wszyscy prawie cywilni spiskowi, którzy wpływali na wybuch ostatniej rewolucyi. *Nocleg u doróżkarza* jest pustym żartem ściągającym się do powrotu biesiadników, późno w noc do Warszawy doróżkami wracających. *Awantury na herbacie* niebyło żadnej, któraby ubliżała w czem ob. Grzymale. *Ukazanie się autora na ratuszu po 29 listopada*: Ob. Grzymala od pierwszej chwili wybuchu czynnym był z bro-

nią wręku: szczerze i bezwarunkowo połączył się ze spiskowcami, i z nimi istotnie przyczynił się na ratuszu do założenia klubu rewolucyjnego, którego czyny wiadome są z historyi owych czasów: odtąd ze stronnictwem rewolucyjnym na jednę postępowal drodze. Wzmianka żartobliwa o *sprawieniu munduru na kredyt*, jest bezzasadna. Wzmianka o ubóstwie w jakim opuścił Warszawę niekrzywdzi, bo kogoż i kiedy krzywdzićby mogło, a tém bardziej że ob. Grzymala dla zachowania zupełnej niepodległości, rzekł się w pierwszych dniach rewolucyi 5,000 złp. pensyi, którą jako urzędnik pobierał. Wzmianki o *Dażeniach do dyktatury* są prostym żartem, niepotrzebującym objaśnienia. Ob. Grzymala nie sam pragnął władzy, lecz chciał jak wszyscy dobrze myślący, aby władza była energiczna, nie półśrodkowa. Co się tyczy artykułu: *Rekoniesans autora z pułkownikiem Leskim i t. d.* oparte go na pogłosce wyniesionej z kraju, mamy prawomocne dowody, że pogłoska ta jest bezzasadna, i całkiem fałszywa, utworzona przez nieprzyjaciół klubu, przez stronników kontrrewolucyi, którzy jak na innych patryotów, tak i na ob. Grzymale potwarze rozsiewali. Niebyło w tém całym zdarzeniu żadnego czynu przynoszącego ujmę honorowi ob. Grzymala, o którym była wzmianka w numerze 8^m Pszonki. Wzmiankę ową zamieściliśmy w sesie żartobliwej, a co dziś z najlepszą wiarą prostujemy. Zresztą, wszystkie inne wzmianki tak w przedmiotach politycznych jako i prywatnych były tylko żartobliwe, niemające na celu ubliżenia ob. Grzymale. Koncząc te słów kilka, cieszymy się że mamy sposobność oddać sprawiedliwość ob. Grzymale. Kto jak on nigdy się nieplaszczyl, niekłamal, niepochlebiał, kto umię z tak pogodnym umysłem po naszym znośić szlachetną niedolę, niedostatek, wygnanie, kto ani w kraju, ani na tułactwie niczłem się niesplamił, kto wspólnych z nami ma nieprzyjaciół, kto wreszcie w pierwszjej młodości był już jednym z założycieli i czynnym współwydawcą pisma w Wilnie wydawanego, które tak dobrze zasługiwało się krajowi, stając w obronie uciśnionego ludu polskiego, karcąc przesady i nalogi szlacheckie, z tym wszelkie nasze rozterki, niemogą skończyć się inaczej jak na braterskim porozumieniu.

A K T

KONFEDERACJI DYNASTYCZNEJ

DO Tajemnego, wiadomego jęj użytku.



RACIA szlachta, dziedzice, panowie, obywatele, i tak dalej! do was tylko obracamy to nasze pismo. Nasze świstki peryodyczne i nieperyodyczne, z resztą i publiczne gawędy musiały już was mniej więcej zawiadomić o naszych robotach. W tej chwili chodzi nam głównie o to, ażebyście mieli jak najprawdziwsze ich pojęcie. Nieporozumienie pomiędzy nami byłoby naszemu sercu bolesne, a sprawie szkodliwe. Zapobiegając temu, przesyłamy wam niniejszy akt naszej konfederacji, jako najszczerzą spowiedź z jej pobudek, celów i ducha, jako klucz do jej tajemnic.

Niewielu nas jest kochani bracia! Mamy wszystko przeciw sobie. Jedyna nasza potęga w rozumieniu siebie wzajemnym i zgodnym działaniu.

Niemylimy się twierdząc, że zarówno z nami czujecie jak jest ciężki ten chleb emigrancki. Któżto lepiej uczuć może od was, coście zrosili na takim lekkim. Niemiec kawiarki, coby kawę do łóżka przyniosła; lokaja, coby fajkę nakładał; stróża, coby w piecu palil; opłacać każdą przyjemność, każdą wygodę, każdą usługę, a czasem i samemu sobie suknie wyczyścić, buty wychodzić, sato jeszcze uciski, których rzadko doświadczamy, i niewszyscy, dzięki temu, co pocziwa gawiedź nazywa szczątkiem naszych fortun; przebiegiem więc tylko napomykamy o nich. Ale żyć w kraju, gdzie wszystkie nasze wyobrażenia na wywrót idą, gdzie w imię Boga opowiadają wolność i równość wszystkich tego, czemu przodkowie nasi kilka wieków jarzmo naciskali; gdzie śmiało utrzymywać braterstwo błogosławionych potomków Noego z przeklętymi; gdzie niewierzą w wyższość rasy szlacheckiej, w boskie jej prawa, gdzie nawet królewska krew idzie na równi ze krwią reszty narodu, gdzie sztydzą z rachunku majątków na dusze, gdzie lada szuja niedźmiennie czapki przed twojemi oknami, choć jesteś pan z panów, gdzie na ulicy hardo otrze się o ciebie lada wyrobnik, któremu we swojej wsi mogłbyś kopę bizunów wylczyć, żyć w takim kraju zadumionym, kiedy tymczasem podobni nam bracia nasi, pozostali w kochanej ojczyźnie, używają za siebie i za nas; dobrze jedzą, dobrze piją, bawią się, spią do woli, nie nierobia, dostają urzędy, tytuły, bogato się żeniają, hulają po jarmarkach, biją chłopów!... Niedziw, że dobry szlachcic rozważywszy to wszystko wpada w rozpacz, i pragnie jak najprędzej do swojej wsi powrócić. Na chlubę naszą możemy powiedzieć, że niedziś dopiero weszliśmy na tę drogę zdrowego rozsądku; mieliśmy przeczcucie emigranckiej niedoli, jakęśmy tylko wyszli za wrota naszych wiosek, aby się wmieszać do smutnych wypadków nocy 29 Listopada; gryzło nas ono śród bojów, wyciskało lzy kiedyśmy przekraczali granice, aż póki niezamieniło się w rzeczywiste uczucie, w dotykane cierpienie. Bóg świadkiem, żeśmy wszystko robili, aby tylko uwolnić się od niego.

Najnaturalniejszym środkiem było przyjęcie amnestyi, ale wy wiecie, co to jest amnestya moskiewska. Zastanowiwszy się nad nią, postrzegaliśmy, że moglibyśmy wpaść z deszczu pod ryfunę, pomijając potwarze jakich krótko widzący krzykacze nieomieszkiliby cisnąć na nasz charakter, nasz patryotyzm. Zostawiliśmy ją więc, jako ostateczny środek po wyczerpaniu wszelkich innych, i rzuciliśmy się chwilowo w odmet emigracyjnego motłochu. Nie przez spólność uczuć, broń Boże! Wierni naszej zasadzie: *korzystać ze wszystkiego*, dopisaliśmy tylko na chorągwi naszej, pod głównym napisem: AMNESTYA, mniejszemi głoskami POPULARNOŚĆ. I w tym kierunku rozpoczęliśmy właściwe nam działanie.

Na samprzód poszliśmy za radami zdrowej polityki i praktycznego rozumu, i prosiliśmy gabinetów, aby one ze swojej znowu strony poprosiły Moskale, czy niebyłby tak grzeczny, i nieuznał się za zwyciężonego od nas, a następnie, czy niezechciałby dobrowolnie oddać nam tego, czego my naszą siłą wydrzeć mu nieumieli.

Przyznacie szanowni bracia, że w takim postępowaniu był wielki praktyczny rozum, byłto najwygodniejszy sposób wrócenia do naszych majątków, bez wojny, bez niebezpieczeństwa wewnętrznej rewolucyi, a wiecie o tem, że stan najcieńszego ujarznienia zewnętrznego jest jeszcze lepszy, niż najłżejsza rewolucya wewnętrzna. Była przytém i ta jeszcze dogodność, że wszyscy mogliśmy siedzieć jak u Boga za drzwiami, a ciężar pracy, jeżeli był jaki, spoczywałby na zdyplomaconych barkach największej naszej figury. Cześć jej za tyle piór spisanych, za tyle krwi zastapionej zatramentem, za tyle papieru dostarczonego nie na ładunki, ale na fidybusy pisarzykom europejskich gabinetów. Niestety! szatan rewolucyjny wnieślił się w sprawę i wszystko popsul. Motłoch emigracyjny pochopny do bojów i awantur, bo niemający nic do stracenia, oszalomiony nowymi wyobrażeniami, nieuleczony z jadu starych republikańskich elementów, niezdolny pojąć praktycznej naszej mądrości, ani cudotwórstw gabinetowych, wzburzył się nagle: hurra! potępił roboty dyplomatyczne, wynalazł sobie jakieś dziwne godło: *przez lud dla ludu*, i Bóg wie, gdzie skierował opinię. Dziś nieusłyszysz nic innego, tylko że przez wojnę, własnymi całego narodu siłami, możemy Polskę odzyskać. Jakiś czas wierzyliśmy tyle w dobrodusznego rozsądek masy, że wszystko to mieliśmy za szal chwilowy, i spodzielaliśmy się prędzej czy później ujrzyć jego koniec, a nasze roboty szlachecko-dyplomatyczne dalej ciągnąć. Praktyczny nasz rozum zawiódł nas w tym razie. Szalona opinia coraz się dobitniej objawia, partya ludu i powstania coraz liczniejsza, coraz się mocniej urządza, tak, że w końcu może nas, jak to mówią, posadzić na lodzie. My przeto niżej podpisani, wjąwszy na uwagę, że głupiemu rozum niezawadzi; że i Polacy mogą zamarzyć o powstaniu; że to powstanie może być w duchu demokratycznym, bo diabeł nieśpi; że w takim razie byłoby kręto z naszym szlacheństwem i państwem; że jak kto sobie pościele tak się wyśpi, bezpieczniej więc jest wcześniej pomyśleć o łóżku w Polsce, przysłaliśmy napróżd do mądrych ogólnych wniosków, takich naprzykład: *Prima charitas ab ego*; — gdzie niemożna przeskoczyć, tam trzeba podleść, to jest podszywać się pod przemagającą opinię, robiąc swoją sztukę dalej; — jeżeli pęk pretłów trudny do złamania, jak nas tego naucza dukat holenderski, to je trzeba rozwiązać i pojedynczo łamać; — jak tylko naród poczyną przychodzić do opamiętania, puszczaj mu nowego baka, i tym podobnie: a następnie, w skutku tych wniosków, postanowiliśmy zawiązać i zawiązujemy niniejszą KONFEDERACJĘ DYNASTYCZNĄ, w duchu i celach wykazanych i objaśnionych przez poniższe artykuły.

1^o Konfederacya ogłasza za swoją własność przekonanie, że naród polski na swoje tylko siły rachować powinien i tylko narodowem powstaniem zbawić się może. Konfederacya otrzyma przez to dwie ważne korzyści: odciągnie od strony przeciwnych tych wszystkich, którzy powiadają: — kto prowadzi, jechał go sek! niech tylko prowadzi, a pójdziemy za nim, i razem zniszczymy najniebezpieczniejszy przeciwko nam zarzut, że niewierzymy w naród. Dla uspokojenia podejrzliwych sumień, któreby tym artykułem przerazić się mogły, konfederacya

Artykułem 2^{ym} przyjmuje za formę rządu polskiego formę monarchiczną, jako nieodbity warunek pomyślnego powstania i trwałego bytu Polski w czasy nieskończone. Tym sposobem zapewnia sobie wszystko, co tylko jest w narodzie szlacheckiego, jezuickiego, niedołężnego, pieczeniarskiego, służalczego, lokajskiego, jednym słowem: wszystkie żywioły antyrepublikańskie, tak stare, jak nowe, poczęte przez rządy moskiewski, austriacki, i pruski.

3^o Konfederacya mianuje swoją monarchiję monarchiją demokratyczną. Przez ten lisi ogonek pokaże gruszkę na wierzą

bie tym, których poczał już owiewać duch antyszlachecki, wydrze na swój użytek dotychczasowym demokratom monopol nowych wyobrażeń, i może nawet niejednego z nich na tę wędkę złapie, a razem dostarczy szlachcie niespożytego żywiołu do dysput z demokratami, potępiającami jęj arystokratyczne dążenia.

4° Konfederacja ustanawia dynastję polską, i zamyka całą ważność, całą potęgę, cały byt narodu w dynastji, w jednej rodzinie, odpowiadając z kwitkiem wszechwładztwo ludu. Jestto myśl olbrzymia, daj tylko Boże, aby w skutkach okazała się tak rozumną jak jest polityczną w poczęciu swoim. Zacięra ona naród, niszczy wiarę w wszechmoć jego, ujmuje w kajdany wszystkie jego siły, robi z niego jedynie dobre narzędzie, zwraca znowu całe zagadnienie naszej sprawy na stanowisko, z którego je ruszył nasz pierwszy artykuł, ale zawsze upieramy się przytęm, że nasza monarchja jest demokratyczna.

5° Konfederacja opiera się w przyszłym urządzeniu polskiego narodu na *Konstytucji 3^{go} Maja*. Ten figiel nieprzerazi naszych panów znających się na rzeczy, a ujmie za serca patriotów-prostaczków, półliberalistów, półrepublikanów, półśrodkowców, którzy w prostocie ducha zapatrują się na tę konstytucję, tak, jak gdyby słońce 3^{go} Maja 1791 roku jeszcze niezaszło, i niedomyślają się, że żalobny kwef, który widzą na jęj twarzy pokrywa już zmarszczki pięćdziesięciu lat przeżytych.

6° Konfederacja najuroczyściej przyrzeka, że jęj monarchja będzie rozwijać ulepszenia socyalne w duchu konstytucji spomnionęj, sposobem postępowym, to jest, kiedy panowie narodu uznają to za dobre dla siebie. Kto ma uszy niech słucha. Konfederacja bierze przez to pod swoją opiekę cały obecny stan rzeczy, i mimo groźby przemian, niemającej żadnego w sobie znaczenia, zaręcza najświęciej jego nietykalność tak długo, jak to długo będzie w jęj mocy. Ktokolwiek zna nas dobrze, ten wie, że taka utopija jak myśl usamowolnienia masy nigdy nam głowy niezawróci. Spodziewamy się, że pojmujecie teraz naszą socyalność.

7° Konfederacja pieczętuje powyższe artykuły i całe dzieło uosobieniem swojej dynastji, monarchii, konfederacji, demokracji, Polski, powstania, a jaśniej mówiąc wszystkich swoich *nic* rozmaicie pochrzczonych w największej swojej figurze. To jedno dostatecznie i ostatecznie zmodyfikuje artykuły zanadto rażące duchem panującej opinii, da świadectwo wiarygodności innym, uspokoi wszystkich naszą wiarę, i będzie najlepszą rekojmnią, że zostaniemy tēm, czēm byliśmy, mimo to wszystko, co czasem przez wzgląd na okoliczności jesteśmy lub będziemy zmuszeni powiedzieć lub zrobić.

8° Konfederacja wysuwa przed siebie, jako swój organ, pismo pod tytułem 3^{ci} *Maj. Trzeci-Maj*, mówiąc przez porównanie, będzie to lokaj przy drzwiach, którego całym jest obowiązkiem wymieniać nazwiska gości wchodzących do salonu, ale dokładna ich znajomość nie do niego należy; albo pozytywek, który to tylko wygra, na co go nakręcono. Świadomość gości i klucza od pozytywka zostanie naszą tajemnicą. Jak zrobimy swoje, szanowny klub *Maja-trzeciego* pojedzie sobie z Bogiem, jak sfalszowany pozytywek albo wysłużony lokaj.

9° Konfederacja na dobitkę przyjęła następujące postanowienie: Jeżeli emigracja będzie jęj powolna, konfederacja przyrzeka myśleć o powrocie do kraju wszystkich tułaczów, i nawet w chwilach swobodnych niezałować na ten cel swoich wstawień się, w przeciwnym razie, a mianowicie w razie przeciągnięcia się szalu demokratycznego, konfederacja pojedzie za popędem patriotycznej tęsknoty i *coule qui coule* wysunie się pojedynczo, każdy do swojej wioski, a holotę emigracyjną zostawi własnemu jęj losowi.

Z tego wszystkiego widzicie, że istotą naszej konfederacji jest naprzód: utrzymanie świętego pokoju pozorami wojny, a potem: zapewnienie sobie kierującego stanowiska, cokolwiek wypadnie. Znając waszą przenikliwość, przewidujemy zarzut, jaki głównie zrobicie przedstawionemu wam dziełu, powiecie: *stara to sztuka!* Nie prawdziwszego że nie nowa, ale my wiemy z kim mamy do czynienia. Możesz im tysiąc razy jedną su-

knję udać za inną, tylko ją zrzeczenie przewrócić, i umieć bezczelnie przemówić. Nic nowego pod słońcem, i dno więc naszej polityki zawsze tosame, ale czyż wszyscy znają historję? czyż bieda emigracyjna nie zrobiła naszych dobrych dusz jeszcze powolniejszymi niż były kiedykolwiek?.. My wiemy, że *tonący chwyla się brzytwą*. Krzyknij POLSKA! a pójdą gdzie chcesz, za kim chcesz! Na rozumniejszych, ale nikczemniejszych mamy inne sposoby; ściśnienia naszych rąk pańskich, uśmiechy i słodkie słowa naszych dam, wstęp na nasze salony, słodczye naszych herbat, bilety towarzystwa dobroczynności, zasiłki z grosza wdowiego, krzesła w towarzystwach literackich, perspektywa wreszcie rang, urzędów, tytułów i tym podobnie, oto są kółka, które przewlekamy przez nozdrza naszych niedzwiedziów i wlecjemy ich za sobą.

Udzielając wam, szanowni bracia, w tajemniczy akt niniejszy, który jest najurzędowszą podstawą i wyjaśnieniem naszego dzieła, mamy pewność że po rozpatrzeniu się w nim nieomieszkacie połączyć się z nami.

TRZECI-MAJ-DENUNCYANT

CZYLI

SPRAWDZENIE PRZYSŁOWIA: *Jaki pan taki sługa.*

Brawo! Służba dynastyczna zaczyna już występować w paradynej swojej barwie. Malpując jakiś czas, a przynajmniej chcąc malpować arystokratyczną wyższość nad motłochem emigracyjnego dziennikarstwa, wyszła dzisiaj ze swojej roli, i pokazała nam zwalane białe rękawiczki-błotem polemiki; sama to wyznała, a my jęj więcćj powiemy, pokazała nie ręce zbłocone, ale skalaną swoją polskość i co za tym idzie konieczność—*brudne sumienie*. Odtąd *Trzeci-Maj* nazwamy śmiało *denuncyantem*. Kto o piśmie w kraju wychodzącem, pod okiem i ręką rządu czytającego nieustannie na lada sposobność, aby niszczyć życie narodowe, mówi w taki sposób w jaki *Trzeci-Maj* mówi, kto mu wmawia dążność polityczną, usiłuje wszystko nakręcać do podejrzenia go o ducha demokratycznego, ten oskarża go przed jego rządem, a taki oskarżyciel jest *najpodléjszym denuncyantem* w obliczu swojego narodu; interes partyi idzie na bok, przed sądem staje tylko Polak. Słuchaj *Trzeci-Maju*! Jeżeli to napisałeś na rozkaz pański, ha! *pan każe, sługa musi*, chociaż nawet w dynastycznej służbie, sumienie powinno być niepodległe; ale jeżeli wybrzyknąłeś z własnego popędu, a pan twój ma tyle przynajmniej rozumu, ile na jedną osobę potrzeba, to litujemy się nad tobą, jakbyśmy już widzieli rozciągnięty kobierzec, a pana marszałka dworu liczącego na palcach z nieubłaganem obliczem.

Ale cóżto była za obraza, co aż do tego kroku *Trzeci-Maj* zmusiła?... Wielkie rzeczy!... Pochwalono Raspaila, panu skarbnikowi dano do zrozumienia, że ma fałszywą monetę w swoim skarbcu, ośmielono się plunąć na dynastję. Dla was mogą to być ważne powody, ale czyż są takimi dla Polski?... Co Polsee po waszych królach?... Tuzin waszych królów odda ona z całym ich nakolankiem przeszłém, terażniejszém i przyszłém za byt jednego pisma, w którym się utrzymuje, objawia i rozkrzewia myśl narodowego zbawienia. Bo i cóżby na tēm straciła?... To, co miała najzłubniejszego w przeszłości swojej, co dzisiaj rozplądza plemię pieczeniaryzy, przedpokojców, bazaraczy z kiepską głową, z kiepsciejszém sercem, krępuje ją fizycznie, kła moralnie, zawichrza umysłowo, co na przyszłość grozi bydlęcą bezwiednością szlachetnemu jęj społeczeństwu. A coby zyskała?... Apostoła zbawienia narodowego! Wy to inaczej widzicie. Mniejsza o to, przy najmylniejszém przekonaniu można postępować szlachetnie. Zdanie to niewygodne waszjęj polityce. I loicznie. U was król, dynastja przedewszystkiém, a więc królowi, dynastji wszystko poświęćacie. Zresztą, aby cel osiągnąć o środki mniejsza—było to odwieczne

waszych manerów prawidło. Cóż bardziej, jeżeli niepodobna polityka charakteryzuje dynastyczne bożyszcze *Trzeciego-Maja*. Niemając nigdy dosyć siły w sobie, dosyć sympatyj w uczuciach ogółu narodowego, zawsze ono szukało wsparcia po za jej obrębem. Sprowadzało wojsko moskiewskie, zasiadało w ministerium moskiewskiem, intrygowało na kongresie wiedeńskim, słało Moskwie swoje i Polski poddaństwo za rewolucyi 29, a w najbliższych nawet czasach, gdzie się udawało przeciw emigracyi?... Cóż więc dziwnego, że *jaki pan taki sługa*? Chwała twojej śmiałości, twojej otwartości *Trzeci-Maju*! Przebyłeś Rubikon. Idź dalej, idź wciąż tą drogą, a jeżeli nieumiesz przed czasem, wzniesiesz się wysoko. Tym jednym krokiem prześcigniesz już najbezpieczniejsze emigracyjne pisma, nawet *Kronikę*. Tamte robiły tylko szpiegami męczenników sprawy polskiej, przedstawiały na roli potwarców; nieśmiały jednak same zostać szpiegami. A ty?... Ucieszcie się Makroty, Szleje, Szymanowscy, niezeszłicie ze świata bezpotomnie!...

Bij a nienudź.

Osobliwe to zwierzę Wielbłąd! — Gdy raz się dobrze napije, z żołądka jak ze studni odświeża sobie gardło przez dni kilkanaście, lubo woda ta, niema ani świeżości ani smaku dobrej źródłanej, jak o tém zapewniają Arabowie zmuszeni niekiedy, gdy im pragnienie dokuczy, uciekać się do wielbłądniego żołądka. Smutna konieczność! Otóż rozmyślając nad tém pocziwem zwierzęciem, znalazłem w niem wielkie podobieństwo do niektórych pisarków, co nalykawszy wody różnych doktryn i pewników grasujących w dziennikach, przysługują się nią swoim czytelnikom, i to jeszcze, w kraju, gdzie w okwiłości dobrego wina, nikt na wodę niepatrzy. Wśród tych porównań między wodą a pisarzem, zawsze mi napastujących, ilekroć jaką broszurę biorę do ręki, przewracałem numer *Orla Białego*, a przewracałem skwapliwie, bo zaraz na wstępie okropnie mi zaintrygował pan Bruzelczyk, przyrzekając: *podniesienie siły moralnej i urzeczywistnienie utudzeń w nieomylnym skutku*. Tego mi trzeba Mospanie. Bujaj mój orle! galopuj pogoni! Oddajemy ci duszę naszą, dusze zgnębione nieszczęściami, zmateralizowane słabością woli, zubożnięte brakiem wypadków, aby opłukawszy je w eterze po którym krążysz, czyste, wielkie nazad powrócił ziemi, dla naprawy zgorzonego świata. Po takiej apostrofie, obudziło się we mnie pragnienie jak u Beduina na puszcy. Przebiegam kartki po kartkach, kolumny po kolumnach, błagając tej chmary liter, aby mi spuściła choć jedno ziarnko przyobiecanej manny; za całą odpowiedź runęła na mnie zmrożona, galaretowata, cuchnąca siarką masa *świętego* odkrytych pewników, o potrzebie powstania o swoich siłach, o tém że arystokracja niedobra, że Towarzystwo Demokratyczne także niedobre, ale że Zjednoczenie może być lepsze, наконец że Mikołaj tyran, wielki tyran! że mówić Sławianinowi po francuzku to niezrozumie, a po sławiańsku zrozumie, że do czasu *Nowej-Polski* myśl narodowa była ciemna, dopiero tam powiedziała: jestem! i wiele innych bardzo ciekawych rzeczy, jak te:

Że ówdzie dziś walcują, a tam obiad jedzą,
Zboże tanie, deszcz pada, w Grecyi rozboje.

Zaiste, trudno komu mieć za złe, jeżeli ma dobre chęci, przecież i w szkołach pedagogowie mają ten wzgląd dla dobroduszných nieuków, ale dla boga! któż tu ze złości chęciami?! Czy może my biedni czytelnicy pożywający wszystko co nam rzucicie: dziennik nie dziennik, broszurę nie broszurę, romans Czajkowskiego nie romans? — Czytamy, słuchamy, ale w zamian chcielibyśmy aby niespekulowano na grosz wdowi, eksploatując cierpliwość powtarzaniem tego, co już dosadniej, i złośliwiej, i zręczniejsz, i bezczelniej dowiodła *Nowa-Polska*, co urzędowniej ogłosiło pismo Komisji Korespondencyjnej a nawet mistyczno-dowcipny Miturzyński wydemonstrował. Zgoła wśród nudów wygnania, kogo taki *Orzeł Biały* swém skrzydłem przywali, musi w przebraniu cierpliwości zawołać: *lepiej bij a nienudź!* lepiej praw co chcesz, a nie to, o czém już i wróble na dachu wiedzą.

KALENDARZ

PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO

NA ROK 1840, W KSIĘGARNI JEŁOWICKIEGO, alias JANUSZKIEWICZA, alias MARYLSKIEGO, W PARYŻU.

Po nowym roku, kalendarz nowy najważniejszą jest rzeczą, dla ludzi tak porządných jak Pszonka. Cieszy go więc pojawienie się tegorocznego. Że zaś taką wagę do niego przywiązuje, chciałby go widzieć nadal w zupełnej doskonałości; i przeto pozwala sobie objawić z tego powodu niektóre swoje pomysły i uwagi.

Przedewszystkiém oświadcza autorowi kalendarza podziękowanie, za całoroczną listę świętych. Jestto najważniejsza część w każdej podobnej książce, a przytém niemała zasługa przed świętymi patronami i przed ludźmi.

Kategoria *zmarłych* niekompletna i system jej grzeszy zbytnią zwiezłością. Względem *motłochu* emigranckiego to ujdzie, ale są zmarli, dla których nekrolog jest powinnością. W tym rzędzie kładziemy J.W. *Kronikę* zeszlą z tego świata w grudniu r. 1839. Chcielibyśmy, aby ta nasza uwaga obecna była kalendarznikowi przy układaniu każdego nowego w przyszłości kalendarza.

Uważamy równie za wielką szczerbę w tegorocznym kalendarzu, zaniedbanie listy *nowonarodzonych*. Mamy nadzieję, że w przyszłości niebędziemy mieli powodu do podobnego zarzutu. Tymczasem uchybienie tegoroczne naprawiamy braterskim sercem, jak następuje: I tak, w roku pańskim 1839 urodzili się na łonie pielgrzymstwa polskiego w Paryżu:

1. Pryncypijum hermofrodyt: monarchija demokratyczna. Zbliźnione jak bracia syamscy, z potworkiem płci nieoznaczonój dotąd, a któremu chrzest z wody nadał imię: *dynastia Czartoryskich*. Zjawisko ciekawe do widzenia, należy do rzędu tych płodów, o których przysłowie powiada: *miał się urodzić diabeł, ale kur zapiał*. Maluczkieto niemowlę ten Mesyaszek. Trzech królów z darami jeszcze niewiadać, tylko pocziwe żujące stworzenia chuchają na dziecinę, bo czują siano w jego żłobku. Leżą już przy nim i niektóre symbola jego przyszłości, a między niemi kostki, któremi lotry mają się rozegrywać o przyszłą jego szatę królewską. Obrzezanie ma się odbywać w pierwszych dniach powstania. Począł się z *Trzeciego-Maja* za nawiedzeniem księdza Praniewieza, a poprawieniem przez Janusza Woronicza.
2. Stronnictwo rdzenne. Z matki *Trzeci-Maj*, z ojca niewiadomego. Dziwna także poczwarka z gębą i apetytem do pożarcia całego narodu, ale bez wnętrzości.
3. Idea szablistość. Co znaczy, że zbawienie Polski w tém, jest całe, ażeby szabłą jak najwięcej machać. Mato być plód Michała Czajkowskiego, a przynajmniej wmawiany w niego podrzutek *Trzeciego-Maja*. Owa istota, według wiarogodnych twierdzeń, jest najdobitniejszym uosobieniem ducha narodu polskiego i jedynym jego zbawcą, rzeczywistém *Czterdzieści cztery*. Utrzymują, jakoby anioł polski zstąpił bezpośrednio w kałamarz Czajkowskiego, i zapłodnił tą ideą jego romause. Kto ciekawy, temu łatwo naocznie o tém się przekonać samemu.

Co do artykułu o piśmiennictwie emigracyjném, w tym, zgorzył nas wielce nieprzychylny duch dowcipkowania, podżartowywania, co już tak dobitnie uznała *Młoda-Polska* za zbrodnię w naszém położeniu tulaczém, przez jedną ze swoich homilii przeciw *Pszonce*. Dla *Pszonki*, jako wykletego, jużło wszystko jedno, ale zastanawia nas grzech *Pszonki* w spomnianym artykule, zwłaszcza że wyszedł z zakręty samejże *Młodej-Polski*. Zresztą artykuł dowodzi, że autor jest na właściwym sobie polu. Szkoda, że nie może być w kraju. Wychodzi tam, w Berdyczowie, u oo. karmelitów bosych, kalendarz gospodarsko-astronomiczny, bardzo głośny z konceptów i zagadek; przy jego redakcyi, znalazłby niezawodnie autor pole dla swoich zdolności, i ma się rozumieć pewne honorarium, bo i żartobliwy i pobożny, i umie grzbić i nogę podstawić, i strzyże i goli, i zgaduje i nawet wróży; wszystkie przymioty konieczne dla piszącego kalendarz, a niektóre nieodbitne, kiedy przyjdzie kategoria pogody.

ROZMAITOŚCI.

Niedawno, podczas jednej rewii w Petersburgu, Mikołaj zawołał ze śmiechem do otaczających go oficerów: Czy wiecie, że Europy nowy król przybył; sfabrykowała go emigracja polska. Mikołaj cieszy się, z tego czynu sądzi o politycznym rozumie emigracyi, i niema jęj przeto za niebezpieczną dla siebie. Mikołaj szczerze się cieszy, jeżeli niewie, że emigracja swoich królorobów za równych jemu nieprzyjaciół Polski uważa.

—Arystokracja puszcza pogrózki, że demokrację na cztery wiatry rozpędzi. Arystokracja uważa szpiegostwo za najlepszy ku temu środek; i kiedy w *Trzecim-Maju* denuncjuje braci w kraju pozostałych, równocześnie w oddzielnym świątku emigrację demokratyczną w podejrzanie rządowi francuzkiemu podaje. Dobry to znak dla pocziwój sprawy, kiedy jęj przeciwników, aż do podobnego objawienia się przywiedzie.

—Powiadają, że Czartoryski dla tego sprowadził do Belgii rycerza żalobnej postaci (Skrzyneckiego), że od niejakiego czasu całą nadzieję odzyskania Polski położył w gabinecie belgijskim. No! to już piąty z rzędu gabinet, przez który Czartoryski zbawia nieszczęśliwą Polskę, a te są: Moskwa, Austrya, Francya, Anglija, Belgija. —A jeżeli i Belgija nie pomoże?... —To zostanie mu jeszcze jeden mocarz — książe Modyny.

—Wkrótce ma wyjść z druku, dzieło księcia Adama Czartoryskiego, pod tytułem: *Pistolet do zabicia niepodległości Polski, czyli sztuka zrywania sejmów, z wielokrotnych doświadczeń stryja, ojca i własnych próbek autora wyciągnięta*. Przedstawienie ma być mistrzowskie, czemu z góry wierzymy, bo familija Czartoryskich zawsze była mistrzem w tej sztuce.

—*Trzeci-Maj* utrzymuje, że elekcyja Stanisława-Augusta byłaby nader szczęśliwym wypadkiem dla Polski, gdyby był Soltyk nieintrygował w gabinecie Repnina. Czy Soltyk intrygował w gabinecie Repnina, niewiemy, ale że Repnin intrygował w gabinecie księżnej Czartoryskiej, to z *Pamiętników Lozena* (Lauzun) doskonale wiadomo.

—W kalendarzu Hofmana, byłego redaktora ś. p. *Kroniki*, ochrzczonym, dla odmiany i nowości zapewne, tytułem *Vademecum*, znajdują się *Wspomnienia z czasów emigracyjnych*, w których, dostojny ten kalendarznik, wśród tłumu wszystkich rzeczy i niektórych innych, przekazuje potomności, nader ważne i pożyteczne prace Towarzystwa-Literackiego-polskiego, jak np. r. 1833, gr. 24, Tow. Lit. Pol. *daje obiad* dla księcia Adama Czartoryskiego; r. 1834, gr. 34, Tow. Lit. Pol. *znovu daje obiad* dla tegoż księcia; 30 czer. Tow. Lit. Pol. *daje obiad* dla p. Campbell; 27 sier. Tow. Lit. Pol. *daje obiad* dla p. Beament i t. d, i t. d, i t. d. Nieprawdaż, że Tow. Lit. Polskie *dobrze używa* przeznaczonych na korzyść emigracyi funduszy?...

—Niektóre emigracyjne dzienniki zaczynają na seryo rozprawiać o artykule *Młodej-Polski* z podpisem S. S. Mościpanowie dziennikarze, niestudując sobie gęby. Ów S. S. jestto Stanisław Słuzewski, były cenzor książek w Krakowie, o którym, przed trzema laty, dzienniki emigracyjne dosyć się już napisały.

—*Młoda-Polska* ogłasza, że byle *zapłacona*, umieści choćby najprzeciwniejszy swojemu przekonaniu artykuł. A więc i car Mikołaj może mieć *Młoda-Polskę* na swoje rozkazy. Bravo! tego nam tylko brakowało jeszcze.

—*Szukaj a znajdziesz!*... I prawda!... Towarzystwo Jednoczenia emigracyi, przez trzy lata *szukało osób* znanych w kraju i w Europie do komitetu, w którego ręce losy emigracyi i narodu złożyć zamierzyło, i *znalazło*. A chcesz je poznać, to przejrzyj wykaz głosów na kandydatów do wspomnianego komitetu. Są tam i członkowie rządu, który rewolucję zatracił, i generałowie, którzy zamiast bić się z Moskałem, w układy z nim wchodzili, i posłowie sejmu, który drzał na samą wzmiankę usamowolnienia chłopów, i różni inni krajowi i emigracyjni jawnogrzeczniacy, słowem wszystko, co tylko do uformowania kompletnego wyobrażenia o loice, rozumie i demokratyzmie jednoczycieli potrzebne być mogło. Zaprawdę, niemało zasługa przed Bogiem i przed ludźmi!...

—Ktoś pytał, jakim sposobem Towarzystwo *Jednoczenia* emigracyi może zwać się demokratycznym, kiedy członkowie jego głosują na Czartoryskiego, Zamojskiego, Platera, Skrzyneckiego i tym podobnych. —A, to pan widać nieczytał broszur członka *Zjednoczenia* K. Woronicza (odrzekł jeden z obecnych), który spółtowarzyszom swoim jak łopata w głowy powkładał, że nie tylko głowa arystokracji król-demokrata, ale nawet demokrata królem być może.

Wyjatek z listu z Galiicyi.

1840 w Stryczu i.

Smutny obowiązek pisywać o samych tylko nieszczęściach, a to właśnie mię spotyka, ilekroć biorę pióro, aby ci to i owo o naszym donieść kraju. Musisz zapewne wiedzieć że, Kulczyński nagle obskoczony w domu Nawratela, spalił papiery i życie sobie odjął wystrzałem z pistoletu. Pomienionego obywatela rząd kazał uwięzić, co zrobiło wrażenie na zubożniętych nawet. Lwowski kryminal i prowincjonalne, zarzucone są sprawami o zbrodnie stanu, a coraz nowe gmachy zajmują na więzienia. Na Szpielberg wywieziono wielu księży unickich i łacińskich, a oraz kilkunastu z młodzieży Samborskiej. Kaspra Ciągłowicza osadzono na lat piętnaście ciężkiego więzienia, i miano go już wywieść ze Lwowa, kiedy jakieś nowe odkrycia wstrzymały wykonanie tego okropnego wyroku, zapewne, aby go okrutniejszym uczynić. Najsmutniejszy zaś wypadek zdarzył się w Czortkowie. Od dwóch lat siedział tam w więzieniu Gawelski, rządcza w majątności Konstantego Zaborowskiego. Człowiek ten, żonaty, pracowity, uwięziony został przez cyrkularnego komisarza Pawlikowskiego, który wyszpiewował, że Gawelski nie jest krajowcem. Około tego czasu, tenże sam niezmordowany Pawlikowski odkrył powstańca między strażnikami rządowymi przy akeyzie. Zwyczajem austriackim, dla wytłumaczenia się wtrącono go właśnie do tego samego więzienia, gdzie już Gawelski siedział. Śród nudów zamknięcia, niewygód, a najbardziej niepewności, jak i kiedy ta męka się skończy, umawiają się ci dwaj więźniowie, aby sobie nawzajem życie odebrać, ale jak? kiedy wszystkie sposoby w ściśle urządzonym więzieniu są im odjęte, więc taka im myśl przychodzi: Wyjmują dwie nogi grube z tarczana, na którym spali, i razem jeden drugiego miał w skronie ugodzić. Wykonanie takiego rodzaju samobójstwa jest niepodobnem, aby się na dwóch spełnić mogło, więc tak się i stało. Gawelski ogromniejszy wzrostem i siłą, odrazu kładzie swego towarzysza niedoli. Padł trup, a zabójca woła na wartę i mówi: sprzykrzyło się nam cierpieć niewinnie, zabitem mego kolegę, abym i jemu ukrócił cierpień, i sam prędzej cierpieć przestał. Gawelski ma być teraz kryminalnie sądzonym. Przeszkodził jednakże tak krwawej, niesłychanej scenie było w mocy hrabiego Lewickiego z Chorostkowa, który przyjmując hucznie w swych dobrach arcy-księcia Franciszka-Karola brata cesarskiego, obiecał był żonie Gawelskiego wstawić się za jęj nieszczęśliwym mężem; ale od obietnicy do skutku przestrzeń jest niezmierna, zwłaszcza u panów hrabiów. Na pochlebstwa, na komplementa, na oczernianie ducha narodowego, hrabia miał słów aż nadto, lecz ani jednego dla przemówienia za mężem kobiety, która mu się włóczyła za nogami! Na dokończenie tego obrazu muszę ci powiedzieć, jak się, znany ci zapewne, Leopold hrabia Krasinski przed niedawnym czasem popisał. Charakter szpiega austriackiego przyznawany mu od lat wielu, a najbardziej od rewolucyi, objawił się w nim niewątpliwie, a to, gdy dwie osoby, które mu się niewiadomo dla czego niepodobaly, zadennuncyował wprost dyrektorowi policyi we Lwowie, jako niebezpieczne dla rządu i arystokracji. Łatwo się domyślasz, że tych spokojnych, w politykę wcale niemieszkających się ludzi, otczono natychmiast chmurą szpiegów.

Pismo PSZONKA jest do nabycia w Paryżu: w CZYTELNI POLSKIEJ przy ulicy *Marais St. Germain* n° 12; w KSIĘGARNI POLSKIEJ przy ulicy *Marais St. Germain* n° 17 bis; i u Ob. JÓZEFA JOKISZA przy ulicy *Petit-Bourbon* n° 9.

CZARTORYSCY

JEDENASTA PLAGA EGIPSKA

PODANIE HEBRAJSKIE.



Mojżesz wielce był zafrasowany uporem Faraona; użył przeciwko niemu wszystkiego co jest najobrzydliwsze, najszkodliwsze, najstraszniejsze na ziemi; napełnił egipską ziemię żabami, myszami, pluskwami, a Faraon był nieugięty. Gdy to rozmyślał Mojżesz, wpadł w gniew wielki, a w tym gniewie postanowił udać się do najstraszniejszej, ostatecznej plagi, jaką zachował sobie. Bóg zobaczył gniew Mojżesza, jako gniew lwicy nad pobitými lwiatami, przyszedł do niego, i pytał: Co ci to jest mój przyjacielu Mojżeszu, żeś taki zagniewany? A Mojżesz odpowiedział: Oto użyłem dziewięciu plag przeciw Faraonowi, a zmieknąć go nie mogłem; teraz postanowiłem użyć dziesiątej, aby raz przecie z Egipsem skończyć. Dobrze robisz Mojżeszu, ale jakaż to jest ta dziesiąta plaga? A Mojżesz odpowiedział: Familija Czartoryskich. Gdy to Bóg usłyszał, uchwycił się za głowę, i zawołał: Mojżeszu! Mojżeszu! nierób tego, nieprzyszłoby jeszcze na Egipcyan ich dzień ostateczny. I długo zadumał się Bóg i Mojżesz. Nareszcie Bóg rzekł do Mojżesza: Mojżeszu, odstąp mi tę plagę. A Mojżesz odpowiedział: Dobrze mój Panie, ale ja głupi Mojżesz nie mogę domyśleć się, co byś Boże z nią zrobił, na którym ludzie chcesz jej doświadczyć? Mnie się zdaje, że niema i niebędzie ludu gorszego nad egipski. Prawdę mówisz Mojżeszu, odpowiedział Pan. Ja też niechcę doświadczać twojej plagi na ludzie najgorszym, ale na ludzie najlepszym. Będzie on żył w kilkanaście czasów po tobie; będzie najmilszym z narodów przed moim obliczem, przeto będę go nawiedzał różnemi plagami, aby doświadczyć jego cnót. Będę puszczał na niego kłeski gorsze jak na sługę Jaba: Tatory, Pomór, Krzyżaków, Szlachtę, Szarańczę, Carów moskiewskich, Jezuitów, Hrabów galicyjskich, i wiem że to wszystko przebędzie. Nakoniec spuszcze nań familiję Czartoryskich, jeżeli ta go nieodobije, to zostanie podnieśiony nad wszystkie w świecie narody.

TRZECI MAJ

W ADAMIE PIERWSZYM

SCENA TRAGI-KOMICZNA¹

NAD BRZEGAMI SEKWANY.

(We 3 częściach).

OSOBY.

FUNDATOR	Pan HRABIA.	3ci SCRIBA	Pan MICHAŁ.
KOLATOR	Pan JANUSZ.	KASSYER.	
1szy SCRIBA	Pan LUDWIK.	KSIĄDZ TOMASZ.	
2si SCRIBA	Pan JAN.	MACIEK.	

CZĘŚĆ I.

(Salon ubrany jak dawniej, brakuje tylko kilku krzeseł i kanapy, na których miejscu leżą stosy broszur o DYNASTYI i paki z napisem: TRZECI MAJ, pod epigrafem: MIŁY BOGU I OJCZYZNIE, PEWNO NAM SIĘ NIE WYŚLIZNIE, a u spodu: NE TOUCHEZ PAS S'IL VOUS PLAÎT).

PAN HRABIA (po chwili zamyślenia, stawiając nogę na jedną z pak nietykalnych). Otóż proszę, w co się obrócili moje pocziwe bankocette. Przed miesiącem, miałem ich

¹ Scena liryczno-komiczna, pod tytułem: *Adam I w Trzecim Maju*, dała poznać czytelnikom naszym, którzy dziennika dynastycznego zapewne zbliżając z przysłowia: *Człek układa, a Bóg rządzi*, objaśnia, jak ten cel i zamiary wsteczny biorąc obrót, wcieliły *Trzeci-Maj w Adama I*, którego to szanowne piśmemko miało być protektorem. Brakuje trzeciej sceny, żeby trylogija była doskonałą. Troche cierpliwości, a i ta się znajdzie.

szesć jeszcze, a wszystkie tucze jak ukraińskie jałowice.. (śmieje się). Dalibóg, Pan Michał nauczył mnie mówić przez porównania; (z ironiją) piękna zapłata za groświwo, które się rozplynęło w tén śmieciu... Artykuły!... *Feuilletony!*.... Dziennik! Ah! Mości-Panowie wyprowadziliście starego lisa w pole... Przyrzekliście mi sławę... a nazwisko moje ledwie raz wycisnęło się na wierzch, i to w gawędzie tego (z przykaszem) *pisarza kózaka!*... (Udając głos Pana Jana) «Panie Hrabio! jakem katolik, jak mamę i ojczyznę kocham, takto byłoby niewłaściwie, żebyśmy o Panu Hrabu w Pana Hrabiego dzienniku gadali...» Co za przewrotność!... Oszczędni w pochwałach dla mnie, czemużście moi Mości-Panowie, niemierzili na toż-samą skalę waszjej własnej próżności, i mojej kieszeni!... Ale nie, jak do zapłaty, i za co pytam, za pochwały dla wasze-samych lub dla waszego księcia, toście zgodni, pilni, nieublagani... (Ściąga nogę z paki i tupając o ziemię) Czy mi kaci nadali wdać się w dziennikarstwo!... (Po chwili zamyślenia) Miesiąc temu jeszcze, gdybym był rad jęj usłuchał, niezabrnięłbym tak daleko. Rzecz dziwna, jak kobiety, a zwłaszcza Francuzki mają wiele przenikliwości i taktu... (Dzwoni).

MACIEK (uchylając drzwi z cicha). Co Jaśnie-Pan każe!

HRABIA. Wołaj mego kassjera. (Maciek wychodzi) Holo! hé! (Maciek się wraca). Listów do Hrabiego niema dzisiaj?

MACIEK. Jeszcze pocztarz niebył w domu.

HRABIA (postrzegając przez drzwi kassjera). Hej Panie! chodź pan tutaj. (Do Maćka wychodzącego) Pilnuj listów...

KASSYER (wchodząc). Słucham Pana Hrabiego? Co Pan Hrabia ma do rozkazania (trzy niskie poklony).

HRABIA. Wielu mamy abonowanych w ogóle?... *à peu près*...

KASSYER. Dwa tysiące Panie Hrabio, którym posyłamy darmo.

HRABIA (przerywając). Ja nie o tych pana pytam. Pan mnie nierozumiesz. Ja chcę wiedzieć wiele jest pieniędzy wniesionych, a wiele *en avis* do kassy?

KASSYER (zmieszany). Pan Hrabia się gniewa, cóż ja winien że kassa pusta i że *en avis* nie niema...

HRABIA (z uniesieniem). Gdzie się Pan uczyłeś sztuki utrzymywania książek?... Znasz Pan *la partie double*?

KASSYER (we łzach). Nie, Panie Hrabio... Ale interesa nasze są *si simples*, że...

HRABIA (przerywając, ale słodszy tonem). A widzi Pan, ja byłem pewny tego. Pan nieumie *la partie double* i chce mieć abonowanych! To nie podobna mój Panie. Przepraszam, ale tak dłużej być nie może... Niech Pan od dziś dnia inną służbę szuka. (Kassjer zaplakany wychodzi. Hrabia dzwoni. Maciek wchodzi na palcach).

HRABIA. Zapal na kominie.

MACIEK. A czém?... z przeproszeniem Jaśnie Wielmożnego Pana.

HRABIA (po chwili namysłu, do siebie). Niema drzewa, niema węgli, bierze diabli i dynastję, i mój Maj. (Do Maćka) Na ten raz możesz wzięść te szpagały. (W chwili, kiedy Maciek zabiera się do podpalenia pak złożonych w kominie, daje się słyszeć pukanie do drzwi i głos *Autora uwag nad Polską mową ustną i wiążaną*).

HRABIA (do Maćka). Proś Księdza Dobrodzieja.

CZĘŚĆ II.

(Ksiądz Tomasz wchodzi z pakiem broszur pod pachą).

HRABIA. Witam Przewielebnego Arcypasterza, Prymasa witam. (Zbliżając się z rozpostartymi ramionami) *O et praesidium et dulce decus!* niech cię uściskam.

KSIĄDZ TOMASZ. Niech będzie pochwalony Adam I, Król Polski, W. Ks. Litewski.

HRABIA. Coż to znowu za Ewangelja. Ależ prześwieitny Prymasie, czy godzi się Adama brać za Jezusa?...

KSIĄDZ TOMASZ. Pan Hrabia jak widzę w różowym humorze. Wszakże, nieradziłbym tak żartować przed ładakim, bo i coż gdyby się to do Księcia doniosło.

HRABIA (z przykaszem). Wyśmienicie Prymasie! wyśmienicie.

Adorujcie i ubostwajcie krew Jagiellońską, bo nią jedynie rany postrzelonych głów goić będzie można. Co do mnie, oświadczam śmiało i stanowczo, że się już z tego szatu, dzięki Bogu, otrząś. *Oh! le Prince tout grand diplomate qu'il se* mniema, niewyprowadzi mnie dalej w pole. Założyłem dziennik na jego usługi, mojemi, niebo mi świadkiem, pieniędzmi; naraziłem się na pociski opinii publicznej; bo Prymasie mówiąc między nami, książę ma wielu, nawet w kraju, politycznych nieprzyjaciół. *Tenez mon cher*, Wojewoda Brzeski pisał do mnie w tych dniach, oświadczając, że *królewskość*, a zwłaszcza w osobie, o której tu mówimy, żadną miarą z wyobrażeniami dzisiejszej Polski zgodzić się nie może... Or, przynasz, że popierać dalej niepopularnego pretendenta, byłoby się mnie samemu depopularyzować. I za co proszę?... Czy, żeby jak dzisiaj czekać zawsze u drzwi na posłuchanie, lub wchodzić na pokoje za zgrają zaufanych służalców i zauszników. (Uderza w stół pięścią) *Oh! c'en est assez!*

KSIĄDZ TOMASZ. Panie Hrabio, strzeż się pychy a pamiętaj na słowa pisma świętego: «Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie.»

HRABIA (z przykaszem). Ale nie ziemskie; a przynajmniej nie w Polsce. *D'aillieur peu m'importe...* (Pokazując na książki) Cóżto za płody ma Księżunio Dobrodziej.

KSIĄDZ TOMASZ. Nowości emigracyjne, Panie Hrabio, godne uwielbienia rymami i prozą. Wziąłem je na prośbę autorów, żebym o każdej, choć po jednej strofie, w 3^m tomie dzieła mojego umieścił.

HRABIA (biorąc pakę broszur, i roztwierając jedną po drugiej). *Vademecum* czyli dowody niezaprzeczone, że u Polaków w kieszeniach tak publicznych jak prywatnych, trudno się zawsze było grosza dopytać. Nieprawdaż?

KSIĄDZ TOMASZ (z przymileniem). Patrzenie Hrabio na ptaki co nieorzą ani sieją, a jest ojciec niebieski co je żywi.

HRABIA (biorąc drugą broszurę). *Sposób robienia chleba bez maki*. Wyśmienicie! Cha! cha! cha! (śmieje się).

KSIĄDZ TOMASZ. Ja w tém nie śmiesznego niewidzę. Projekt ten był komunikowany rządowi, ale Francuzi co się na niczem nieznają, postąpili z nim jak z projektem galwanizowania armat i karabinów... Pan Hrabia zna ten projekt?

HRABIA. *Si je le connais?...* Ach mój pałacie, *mieux que cela... j'y étais* gobie, płacilem akcyje po 500 fr. którebym dziś przedał chętnie po 50.

KSIĄDZ TOMASZ. Bo też galwanizacja nieściągała się ani do srebra ani do złota, ale do żelaza.

HRABIA. Idźmy dalej. *Voyons* te dwa tomy. Ach! to *Stefan Czarniecki*. Cóż Książę Dobrodziej myśli o tym romansie?

KSIĄDZ TOMASZ (z przymileniem). To delikatna materyja, autor tego romansu jest pańskim feuilletonistą.

HRABIA. *Ça ne fait rien*, przysięgam. No! wszakto między nami.

KSIĄDZ TOMASZ. Wierzę słowu Pana Hrabiego, ale mnie nie wypada być *Zołą*. Powiem więc com słyszał. Wczoraj właśnie gadano o tem dziele na pokojach. Książę-Pan ganił w autorze nieznaną historię i obyczajów staropolsko-szlacheckich. Pani Starościna przyznała się, że mnóstwa wyrazów, których jak żyje nigdzie niesłyszała, ani czytała, zrozumieć nie mogła. Pan Koniuszy utrzymywał, że w całym toku jest *mauvais genre*. Wywiązała się z tego powodu długa dyskusja między żartobliwym preopinantem i Panią Wojewodzina o wpływie ras ukraińsko-arabskich w dawniej Polsce na charakter mieszkańców *et vice-versa*, i zgodzili się oboje, że autor Czarnieckiego, ani koniom, ani ludziom, którymi ten bohater dowodził, właściwego nie dał kolorytu. Literaci *ex professo* nastawiali na dziwną budowę frazesów, i wytykali grube błędy gramatyczne. A Panna Kasztelanówna oświadczyła, że jej guwernantka książki téj czytać nie pozwoliła. Zamknięto rozmowę ogólną zgodą, że pisarz przechwalonych *kozackich powieści*, co raz to bardziej, jak sam o kimś powiedział, *degrengoluje*. Wyraz ten, Panie Hrabio, wzbudził śmiech powszechny.

HRABIA (poważnie). *C'est un peu ça*. J ja się w części na ten sąd

zgadzam; ale dziwi mię, że nikt z tak dobrze dobranej siostry, wielkiej myśli, myśli zasadniczej wszystkich dzieł Pana Michała niewydzwignął. Tą myślą *mon cher Primat*, (gładzi księdza pod brodę) jest *szablitość*. Autor rębacz, zachęcając do rąbania, niema czasu myśleć o prawidłach sztuki pisania i gramatyki. *Voilà, pourquoi son style est tranchant*. Ah! pod tym względem, on jest niepospolitym. *J'aime ce style...* (Biorąc 4^y poszyt *de la Pologne illustrée*). Już też wolę jego polszczyznę, jak tę francuzczyznę. *Quelle secheresse! quelle monotonie!* A co za widzenie rzeczy. Karól Szwedzki obrońca narodowości polskiej!... *Vous coviendrez*, mój Prymasie, *que c'est absurde*.

KSIĄDZ TOMASZ. Tak, Panie Hrabio! to prawda!... Ale jeśli Pan Hrabia raczy przejrzeć ten artykuł (podaje papier), artykuł skromny, napisany przez samego autora... On się w nim z téj myśli obszerne tłumaczy... Kto wie, może ma i rację, mówiąc że to jest nowe, dotąd przez nikogo niedostrzeżone stanowisko w naszej historii... (Z nieśmiałością) Ten artykuł wart mieć miejsce w *Trzecim Maju*!..

HRABIA (rzucając okiem na papier). *C'est une reclame!* takie rzeczy bezpłatnie się niedrukują po dziennikach.

KSIĄDZ TOMASZ. Autor ziomek, człowiek z familiją... ma różne wydatki... żyje z pióra... a to Panie Hrabio nieopłaca.

HRABIA (z uśmiechem). No, zobaczmy... ale pod warunkiem, że mi to co mu o tém dziele, w swym nieśmiertelnym zbiorze masz zapisać, w téj chwili *ex abrupto* zaimprovizujesz.

KSIĄDZ TOMASZ. Zgoda! (podniosszy oczy w górę). Myśli mi się niekleją bez fortepiana, (idzie do fortepiana, siada, akorduje i śpiewa):

Ten, co swoim i żoninem
Piórem Polskę zillustrował,
Wart, żeby w sercu rodzinem,
Wdzięcznie się sobie przechował.
Tak książę Baka świetną rytumą
Sławny, a nie żadną bitwą.

HRABIA. Bravo! przewybornie! *Claudite rivos pueri jam sat prata biberunt!* (oddając przejrane broszury). Zwyciężyłeś Prymasie moją skrupulatność. (Maciek wchodzi z listami).

HRABIA (obejrawszy koperty). Wyśmienicie, wiadomość z kraju! (odpieczętowane, czyta, marszczy się) Hola, Maćku! gdzie są panowie redaktorowie?

MACIEK. W sali, Jaśnie Wielmożny Panie, właśnie pytają Pana, czy niemogliby wyjść na śniadanie.

HRABIA. Wołaj ich tutaj... (do siebie) będą mieli dobre śniadanie... Ah! przekłete dziennikarswo... *Que de tribulations!*...

CZĘŚĆ III.

(*Ciz sami i Panowie Janusz, Ludwik, Michał i Jan*).

CZTEREJ REDAKTOROWIE CHOREM. Dobry dzień Panu Hrabieniu!

HRABIA (z gniewem). Zły dzień Mości Panowie... zły i z waszój winy...

PAN MICHAŁ do PANA JANA (pocichu). Czy oszalał? (Głośno do Hrabiego) O Łuczezanach w następnym feuilletonie piękne fakta wypudzruję...

HRABIA (żywić). Proszę Pana mówić innym językiem.. to nie po polsku... Pan miś podobnemi wyrazami z pareset abonowanych odstraszył...

PAN LUDWIK. Na stronnictwa emigracyjne, Panie Hrabio, trzebaby jeszcze mocniej uderzyć. Artykuły, zamieszczone w téj materyi w numerach poprzednich pisma naszego, niezadaly stanowczego ciosu...

HRABIA (przerywając). Mylisz się Pan, zadaly cios... ale go zadaly pismu naszemu...

PAN JANUSZ. Troche cierpliwości, Panie Hrabio, a stanie dynastia, i my z nią, i pismo nasze z nią, i...

HRABIA (coraz żywić). Panie Januszu! kocham, szanuję Pa-

na, ale pozwól sobie powiedzieć, żeś się wyrwał z tą dynastją, jak Filip z konopi.

PAN JAN do MICHAŁA (pocichu). Bredzi jak najęty. (Głośno do Hrabiego) Czy Pan Hrabia słyszał wczoraj kazanie Księdza Lacorderego przeciw karnawałowi?...

HRABIA (podając list panu Janowi). Czytaj Pan, czytaj... kazanie polskie... kazanie w swoim rodzaju...

PAN MICHAŁ do PANA JANUSZA (pocichu). Widzę, że się tu na ogromną burzę wypucza.

PAN JANUSZ (głośno) Milcz Pan, i słuchaj.

PAN JAN (otwiera list i czyta):

Poznań, 28 lutego 1840.

..... Odebrałem w tych dniach z poczty kilka numerów pisma peryodycznego, wydawanego w Paryżu pod tytułem; *Trzeci-Maj*. Dziwny ten plód schorzałej wyobraźni, przykre na nas sprawił wrażenie. Artykuły polityczne wywołały w gronie moich przyjaciół tyle śmiechu i politowania, ile literackie, jak je tu nazwano *okupacye*, oburzenia. Komu się zdaje, iż, żeby Polskę odzyskać trzeba w Emigracji, którą my tu uważamy za córkę powstania listopadowego wybrać króla, ten kraju nie zna, i o emigracji, gorsze niżliśmy mieli daję nam wyobrażenie. Żywioli i środki odrodzenia się Polski są w Polsce całej, wolnej i niepodległej, a nie w królu. Polska żyje teraz myślą, a nie imionami. Stare formy potępia... a o ludziach później pomyśli. Jeżeli znasz wydawców *Trzeciego-Maja*, poradź im proszę, żeby się upamiętali, albo przynajmniej, żeby nas pismem swém nadal obdarzać nieraczyli.

Twój przyjaciel i ziomek,

HRABIA NA PODBORZU PODBORZEC.

PAN JANUSZ. *Tonnerre de Dieu!* To jakiś fałszywy Hrabia! to zły Polak.

HRABIA. Przepraszam Pana. Familija ta wywodzi swoje szlachectwo od Kazimierza Jagiellończyka, i liczy w długim poczcie zasłużonych ojczyźnie mężów Hrabiego Podborca autora listu, mojego dawnego znajomego i przyjaciela. Wprawdzie, dawniej tak nierezonował jak dzisiaj, ale sposób tłumaczenia się jego, tem mnie właśnie więcej uderza, że Hrabia zawsze był dobrym Polakiem. Jedną mi rzecz przychodzi na myśl. Może też list ten był pisany pod wpływem jakiego demagoga emisariusza.

WSZYSTYCH CHOREM. Zgadłeś Panie Hrabio! to niewątpliwie... KSIĄDZ TOMASZ (który odczytywał list pocichu, zrywając się).

W imię ojca i syna i świętego ducha! a toście Panowie nieczytali przypisku (poprawia okulary i czyta): «*Nota bene*: Spodziewam się że wyznanie moje, które wypływa z głębokiego przekonania, nie tylko cię niezadziwi, ale ustali twoją dla mnie przyjaźń.»

HRABIA. Co o tem, to pomówimy z sobą potem. Tymczasem (podając Panu Michałowi drugi list), niech pan z łaski swojej w ten zajrzy.

PAN MICHAŁ (bierze list i czyta):

Lwów, 24 lutego 1840.

..... Donieś mi proszę, kto jest wydawcą pisma wychodzącego w Paryżu pod tytułem: *Trzeci-Maj*. Okropną tę ramotę drabanci pocztowi rozrzucają tu od kilku dni darmo. Niestworzonych stamtąd dowiedzieliśmy się rzeczy. Znakomite mianowicie są *feuilletony*. Myśmy się z nich serdecznie naśmiali. Ale są tacy, którzy dostrzegając w dziwnie stworzonych obrazach i wyrazach konspirację na język polski, oświadczyli, że autorowi wysłał Gramatykę Kopczyńskiego, jeśli się dalej podobnemi dubami będzie chciał zajmować.

Życzliwy sługa,

PAFNUCY ODROWĄŻ

Deputowany Stanów Galicyjskich.

PAN LUDWIK (do siebie). Otoż go wywecował.

HRABIA do PANA MICHAŁA. *Et bien Monsieur le cosaque!* ostro, ale sprawiedliwie!...

PAN MICHAŁ (zmieszany). Niechno mi ten szlachciec wpadnie kiedy w łapy, to go na miazgę zczetwertoszę.

PAN JANUSZ (z uśmiechem). A jaki niepoprawny!

KSIĄDZ TOMASZ. Przestańcie się panowie kłócić o wyrazy;

mnie samemu zdarza się często nowe tworzyć. Wszak tym tylko sposobem język się wzbogaca.

HRABIA. Niewiem, o ile się przez *Owrucczanów* i *Zuczczanów* język Polski wzbogacił. Co do mnie, wiem dobrze, żeś się zubożył. I dla tego Mości Panowie oświadczam wam, że dziennika dalej zasilać, utrzymywać i prowadzić nie myślę.

WSZYSTYCH CHOREM. Jakto? Tanie Hrabio! co? Pan Hrabia miałby kraj zawodzić?

HRABIA. Kraj?... wszak czytaliście listy!

PAN JANUSZ (z gniewem). To się tyczy tylko Pana Michała.

PAN MICHAŁ (zuchwale). Niezupełnie. Jest tam mowa i o politykowcach. Panowie niemniej w tych listach jesteście jak ja pokiereszowani.

PAN LUDWIK. Co za zuchwalstwo!

PAN JAN. Ja trzymam z Panem Michałem, i oświadczam, że...

PAN HRABIA (podchwytyjąc). Żeśmy się nie w swoje wdali rozpoczynając zawód dziennikarski.

KSIĄDZ TOMASZ. Zgoda! Mości Panowie! zgoda! a przynajmniej chwila spokojności!.. Jeszcze rzecz niestracona... niezapalajcie się... Jest opatrność, która czuwa nad wszelkim tworem żyjącym i nieżyjącym, rozumnym i nierozumnym, mięsożernym i roślinożernym. Ona spuści swój promień na *Trzeci-Maj*; a Książę da pieniądze na druk.

PAN MICHAŁ. A redakcyja?

KSIĄDZ TOMASZ. Panowie redaktorowie, gorliwi o dobro tronu i kraju zrobią w części poświęcenie z swojej pracy.

WSZYSTYCH CHOREM. Bynajmniej! Dobrze to Księdzu siedząc na probostwie o poświęceniu rozprawiać. Nam żyć trzeba!

KSIĄDZ TOMASZ. Azaliż niewiecie, że powiedziano jest, iż nie samym tylko chlebem żyje człowiek; ale jeśli ożycie idzie, to ja biorę na siebie, że dostaniecie biletów na obiady *Towarzystwa Dam dobroczynności*. Dixi.

HRABIA. A to nie zła idea. Jeśli się Panowie na nią zgadzają, to ja dyrekcyę jeszcze zatrzymam przy sobie, a nawet bezpłatnie.

PAN LUDWIK. *Fi done!*

PAN JANUSZ. Proszę o tydzień czasu do namysłu.

PAN MICHAŁ (opatrzwszy sakiewkę). Ja jutro dam odpowiedź.

PAN JAN. Dla mnie obiady są rzeczą obojętną, zwłaszcza w *Wielkimposcie*.

KSIĄDZ TOMASZ. Namysłajcie się Panowie, a tymczasem ja wnoszę toast (dobywając butelkę z sutanny) «Niech żyje ten co już miał zginąć, *Trzeci-Maj* w *Adamie I.* (Maciek wnosi kieliszki, słychać wystrzał korka, i okrzyki *vivat! vivat! vivat!*)»

ROZMAITOŚCI.

Arystokracja nową na podbicie emigracji przedsięwzięła wyprawę. Dowodem, okropne jeremijady *Trzeciego-Maja* nad kłeską, która, dzwigających krzyż polski, Polaków w wojsku belgijskiem dotknąć może, a którą, jak *Trzeci-Maj* pisze, książę Czartoryski usunie, jeżeli go emigracja naczelnikiem swoim ogłosi. Mniejsza tą razą o bezczelność, ale co myśleć o rozumie ludzi, którzy aż do tak dziecinnych udają się sposobów?...

—*Trzeci-Maj* utrzymuje, że trwoga o los *Tygodnika Poznańskiego* jest *niewczesna*. I prawda, że jest niewczesną, bo *Trzeci-Maj* zrobił już swoje.

—Na jednej z niedzielnych herbat u króla *de facto*, była długa w późną noc narada o ustanowieniu nowego herbu królewskiego, któryby trafniej niż dotychczasowy wyobrażał króla i jego poddaństwo. Uchwalono, że na wszystkich chorągwiach, domach królewskich jeżeli jakie będą, pieczęciach, naczyniach do dziennego i nocnego użytku, guzikach liberyjnych i innych oznakach dygnitarskich, zajmie miejsce *but*. Dotąd słowa Chłó-

piekiego: *Ojczyzna wasza i butów mi nieda*, brane były w najprostszym znaczeniu. Przenikliwi dynastycy doszli, że but znaczy koronę, czyli godłem jest królewskości. I to być może. Karól XII posłał swój but Szwedom, i kazał go uważać jako znak królewskiej władzy. Tak więc dynastycy ze swoim królem stanęli na równi z butem. Niedarmoto ojcowie nasi wynaleźli przysłowie: *Głupi jak but*.

—Komissya korespondencyjna powiada, że dla tego obecna chwile do zrobienia odezwę do Tow. Dem. Pols. wybrała, iż świeżo ogłoszony wykaz głosów jednocyzielskich na członków komitetu, który Polską i emigracją ma rządzić, jest *zwierciadłem demokratycznych usposobień towarzystwa jednoczącego*. Zaprawdę przyznać należy, że niemogła kom. kor. wybrać ku temu stosowniejszej chwili.

—Dwór Rzymski ogłosił *Uwagi krytyczne nad artykułem Gazety Frankfurckiej dotyczącym Rossyi* w których, tłumaczy katolikom polskim, a szczególnie klerowi polskiemu, że *powstawać i wojować przeciwko Cesarzowi rossyjskiemu jest grzechem*. Nowa ta nikczemność ze strony Dworu Rzymskiego nikogo niezadziwi zapewne, ale niezawadzi wiedzieć, że autorem powyższych uwag, ma być jeden z pupillów arystokracji, sposobiących się w Rzymie na przyszłych duchownych dygnitarzy w Polsce.

—*Młoda-Polska* zaczyna na raz jeden potrzykroć grzeszyć. Niedosyć, że *Uwagi Dworu Rzymskiego* wydrukowała w tłumaczeniu, niedosyć, że najbrudniejszą nikczemność stolicy apostołskiej nazywa oporem przeciwko Rossyi, ale nadto, biorąc w obronę złą sprawę, dodaje, że dla tego w niecierpliwości naszej taką nam zdawać się może, iż my życie nasze rachujemy na lata, a kościół swoje na wieki. *Młoda-Polsko!* postrzeż się! abyć ciężkie nie było grzechów odpuszczenie.

—W pewnym zgromadzeniu rzucono zapytanie, któreby z pism emigracyjnych powiedzieć mogło? że myśl reformy towarzyskiej na zasadach wolności, równości i braterstwa, jest wynalazkiem tułactwa, właściwem jego dziełem. Zgromadzenie od razu wykrzyknęło: *Orzeł-biały-bruxelski*. I zgadło! (obacz N° 8 st. 29).

—P. Józef Ordega wytłumaczył parę kawałków z *Bucheza* o Postępie i Jezusie Chrystusie, i dodawszy kilka bajeczek z *Naruszewicza*, nazwał to dziełem: o *Narodowości Polskiej*. Któs zwracał uwagę, że tak rażąca niestosowność rzeczy z tytułem, wzięta będzie tłumaczowi za szarlatanizm.—Mniejsza oto, odparł jeden z obecnych, kiedy rybak ciska w rzekę przynętę, niedba co o nim powiedzą ryby.

—Od czasu jakiegoś powtarzają a powtarzają uczeni, że opatrność do pewnych celów pewne wybiera narody. Kto wie, czy czegoś podobnego z familijami nie robi? Niedawno zajął na horyzoncie emigracyjnego pismienictwa, wielki pisarz Alexander Jelowicki, a oto zjawia się w *Trzecim-Maju* wielki krytyk w osobie Mikołaja Jelowickiego. Kto wie, jak tam krytyk *pytką do pióra* mając *skwapliwość* porównywa Czajkowskiego z Szekspirem, ten niewstrzyma się zapewne od powtórzenia z nim samym: *W imię Ojca i Syna, ten człek widzę głupi*.

—Mikołaj zwiedzając Psków, rozkazał przedstawić sobie wszystkich urzędników. Gubernator zapytał, czy ma przedstawić i jednego Polaka, będącego urzędnikiem, ale Mikołaj, skoro usłyszał nazwisko Adama Gurowskiego, zawołał: O tym szelmie niewspominajcie mi nigdy. Mikołaj mniej ma w tych rzeczach wyrozumienia od niektórych kolegów w Paryżu, któ-

rzy w najlepsze żyją z niektórymi, aspirującymi bardzo niedwóznacznie do roli Gurowskiego.

LITERATURA.

TRZY STRUNY, ODDZIAŁ DRUGI, POEZYJE Z CZASÓW REWOLUCYI PRZEZ SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO. STRAZBURG, 1840.

W tych dniach pojawił się właśnie ten piękny zbiór liryków znanego śpiewaka *Zamku Kaniowskiego*. Wszystkie dotyczą mniej więcej najpamiętniejszej epoki życia narodu naszego, i są niejako obrazem uczuć, życzeń, nadziei i wszelkiego rodzaju uniesień, a oraz rozczarowań i rozpacz w tym dziesięciomiesięcznym dramacie. Następujące poezyje zawarte są w tym oddziale: *POWSTANIE 29 LISTOPADA*, *HYMN. ORZEŁ BIAŁY*, *ANTYCHRYST WOLNOŚCI*, *DUCH KOSYNIJERA*, *SKOWRONEK POLSKI*, *MARSZ ZA BUG*, *CHMURA*, *PIORUN*, *ŚPIEWAK LUDU POLSKIEGO*, *ZOŁNIERZ W R. 1811*, *CHOLERA*, *ŚKLANNE OKO*, *WISŁA I ŚWIĘTY JAKÓB*, *ZOŁNIERZ ŻEBRĄCY*, *WOJSKO POLSKIE WYCHODZĄCE Z POLSKI*, *ROZPACZ POLKI*, *WYPRAWA BRACI WYCHODZCÓW*. Te same co i w pierwszej części hojnie rozspane zalety, ten sam wszędzie głęboki pomysł i uczucie, a jeżeli niemięszędy artystowskie wykończenie, trafność i urok wysłowień, zato wiele lirycznego pędu i wzniosłości, jak np. w *Orle białym*; śliczna okrągłość i wdzięk, jak w *Skowronku*; żywość barw i opisu, jak w *Marszu za Bug*; prostota gminna, jak w *Duchu kosynijera*. Słowem, utwory te, muszą na każdym czytelniku sprawić wrażenie, choćby ten nawet był tak niedobrej wiary, jak autor rozprawy kalendarzykowej na rok 1840, co *ex cathedra* nakazuje wieszczom naszym, aby w tyłci żelaznych, krwawych czasach nucili mu włoskie *barkarole*, albo jak prowanscy trubadurów pisali *kancony* do pań tajemnych myśli. Nie tu miejsce rozprawiać jakiej nam poezji potrzeba, ale tu, aby wykazać jacy sędziowie podejmują się kierować smakiem czytelników, i jak się radzi przeciwia wszystkiemu, co się nie mieści w karbach ich koteryjnych widoków. Dlatego przytoczymy kilka fałszów, które mi wspomniony kalendarzowy pisarz na wiatr rzucone teoryje swoje popiera. I tak: z góry uderzając, powiada, że poezyje Goszczyńskiego *czuć nieznosnym krwi zapachem*; następnie że *wyje na księżę i arystokratów*, i że materiału poetyckiego dostarcza mu *jaskinia ludzi skłóconych ze społeczeństwem*; dalej, pospieszając z obrokiem duchownym, naucza nas (dobrze wiedzieć!), że ten, co umie wyrazić *myśl czy namietność swego czasu*, lub też jeden z tych *krzyków serca wydzierających się ze wszystkich epok*, jest poetą lirycznym. Niepozostaje tu, jak zapytać szanownego recenzenta-moderata, jakto wygląda namietność naszoczesna, i jaki to krzyk się wydiera?... Czy księża i arystokraci obciążeni zepsuciem i zbrodniami wielu wieków niesą godni oburzeń poety?... Czy społeczność, w której żyjemy, tak jest wzorową, że czysta dusza wieszczka niepowinna się z nią pokłócić, i stanąć w szeregu tych, co pragną być lepszymi?... Malowanie brzydkiej rzeczywistości obróciło się w zarzut przeciw Goszczyńskiemu, jak gdyby Dantemu Gibelinowi można było zarzucać jego okropne obrazy. Przecież śpiewak TRZECH STRUN niennuci wszeźceństw, ani brudów cielesnych torem pisarzy nowej szkoły francuzkiej?... Cóż mu recenzent zarzuca?... Oto oburzenie się duszy czującej, serca bijącego miłością i wolnością, oto że grzmi, piorunuje, a nie płacze i kantyczek nie pisze. Ale znamy my naszych Gwelfów, którzy o kilka wierszy wyżej, na poparcie swojego uniesienia dla naboznych bajeczek Goreckiego, zastawiają się Mochackiego powagą, (który miał je czytywać dla dobrej polszczyzny), aby potem dziwić się téjże samej powadze (Mochackiego) że śmiała zawyrokować, iż Goszczyński ma talent liryczny. Nielekać się panie recenzencie! Goszczyński niedotknął twój złoty liry. Zachowaj ją dla inwalidów, lub dla tych, co śpiew swój zamknęli w przysionku pańskiego palacu, a odpowiedzą tobie o liryczności pojęciom - i będą godni siebie *Poeta i Krytyk*.

Francuzczyzna i Narodowość.



FRANCUZCZYŻNA! i wiecznie francuzczyżna! Niedawno wyganiano ją z naszych książek, a teraz patrzcie! z całym dworem wpakowała nam się w politykę. Szczęście, że nasze babinie głowy nie dały się opanować tej zwodniczej kokietce, której dziś nadskakuje nasza sankiulocka szlachta, co zdezerutowała z genealogicznego drzewa. Biedacy! cieszą się z jej faworów, i myślą że pana boga schwytali za nogi... Cieszą się, cieszą! nam już przyjadły się jej pieczyoty, nam teraz kochanką poważna matrona, stara *Narodowość*... Spójrzcie tylko na to grono matedor rewolucyjnych, kiedy u przyszłego naszego króla i pana zbierają się przy herbacianym stoliku. Myślałbyś że z grobu powstał Chodkiewicz, Czarniecy, Rejtany, Korsaki, taki typ sarmacki w tych czarnych frakach i białych rękawiczkach, taka potęga wyrazu w tych oczach za lornetkami i okularami, taka buta w tych kosmetykiem wونیę napomadowanych wąsikach. A mowa ich?... Birkowski kiedy z ambony rzucał pioruny na zepsucie wieku, Zamojski kiedy krzyczał na króla: *regne non impera*! Korsak kiedy wołał: *Chodźmy na Sybir!* mdle tylko dźwięki wydawali, w porównaniu z energią i duszą tych nowych trybunów z sejmu, rządu i wojska. Coza znajomość tajemnic dyplomatycznych! Jaka harmonija w wysłowieniu!... Zdaje się że polskie ich dźwięki przyoblekły się w całą świegotliwość francuzczyżny. Oh! bo my niepotępiamy tej naszej alijantki, ale pożyczamy od niej tylko to, co nam szkodzić nie może. Demokracja zaś, ta hydra, co śmie przeciw nam podnosić nieuperfumowaną głowę swoją, i mierzyć nas gołym okiem; demokracja rzuca się w jej objęcia, jak niedoświadczony młokos, co w publicznej kobiecie widzi ideał czystości, co nadmysłowe uczucie pragnie rozbudzić w sercu skażonem cielesnym nierządem. Szalony! używaj z nią twego duchowego szczęścia, kiedy my cieszymy się rzeczywistym. Z tego współżalotnictwa obrachujemy się, kto co lepszego odniósł w zysku, i tak:

My narodowość: Spłodziliśmy sobie króla ze starego Gedyminowego gniazda, dzięki argumentom pana Janusza wyjętym z *Quotidienny* i innych prawowiernych gazet francuzkich.

Coż na to *francuzczyżna* czyli *demokracja*?... Naszym królem lud — lud starszy niż wszyscy Gedyminowie i Czartoryscy, lud, który jest nie czym tytułem, ale rzeczą istniejącą od wieki wieków.

My narodowość: Zawiązaliśmy rozległe z gabinetami stonsunki obiecując w nagrodę za przywrócenie ośmiu województw (nie gubernii, przy tem się mocno upieramy), trzymać lud w poddaństwie, ciemnocie i niedzy, jak za dobrych starych czasów.

Na to *francuzczyżna*: Chcemy się wybić na wolność z całym ludem przez własne siły i sympatyę ludów.

Narodowość: Nienaruszymy w niczem dotychczasowego społecznego porządku; kreując nowych hrabiów i baronów, rozdając starostwa i orderzy, strzegąc klejnotu szlacheństwa i poddańczych powinności ustalimy go raczej.

Francuzczyżna: Znosimy przywileje. Cnota, poświęcenie się, talenta otwierają drogę do wdzięczności narodu. Chłop waleczny lepszym może być generałem, jak niedołężny Radziwill wodzem, dla tego, że jego przodkowie byli hetmanami.

Narodowość: Do wychowania naszych dzieci sprowadzać będziemy na kopy guwernerów i guwernantki z Francji i Szwajcarii, bo, broń boże emigracyi! jak to pięknie przybyć z gotowym językiem do obcego kraju.

Francuzczyżna: Wychowanie będzie publiczne, karne i surowe. Znajomość swego języka, kraju i historii pierwszym warunkiem nauki.

Narodowość: Zaprowadzimy fabryki najprzedniejszych materii jedwabnych i bronzów; restauracje i kawiarnie na wzór paryżkich; sprowadzimy najlepszą operę włoską i wodewil

francuzki; wyścigi konne urządzim na sposób angielski, ażeby gdy jaki lord Stuart przybędzie do nas, mógł oddać sprawiedliwość postępowi cywilizacyi.

Francuzczyżna: Będziemy się obchodzić wyrobami jakich kraj dostarczy; potępimy zbytek idący w parze z zepsuciem obyczajów; słuchać będziemy nie włoskich gorgow, lecz włoskich o Hryciu i Bartoszu powieści, i o bitwach gdzieśmy krew lali za ojczyznę. Zarłotwo i pijaństwo precz wygonim, bo zatem idzie ociężałość, głupota i rozpusta.

Narodowość: Dla zaszczerpienia galanterji i rozwinięcia sentymentów serca, sprowadzać będziemy krocie paryżkich romansów; dla zdarcia maski z hipokryzji otworzymy domy publiczne; utrzymywać będziemy dowiepne kortezanki, aby ministrowie nasi i dyplomaci na łonie ich rozmyślali o sprawach państwa. Zgola, będziemy używać życia wesoło, hucznie, bez trosków, bez potu, dzieląc czas między miłość a chwałę.

Francuzczyżna: Kształcenie serca i rozumu ku miłości bliźniego a dla pożytku kraju, znajdą kobiety nasze w ojczystych, książkach, a najbardziej w przykładach żywych moralności publicznej, nad którą rząd po ojcowsku czuwać będzie. Świętość ślubów małżeńskich zapewni pokój rodzinom i wpłynie na wychowanie dzieci. Rozwiążność, bezrząd, będą karane jak zbrodnie cały obrażające naród. Zgola, czeka nas życie wesołe, bo sumienia będą czyste; pracowite, bo w pracy warunek bytu swobodnego, bo niebędzie innych tyranów prócz zwykłych namiętności, których panowanie zlagodzi szczerze przejęcie się powinnościami względem drugich i nas samych.

Patrzcież przezacni Babinicy! przekłeta, sfrancuziała demokracja, chce nam wesołą Polskę w klasztor kamedulów zamienić.

WALLENRODO-MANIJA.

W osobliwszych czasach żyjemy! Przysłowie: *Teraźniejszość jest matką przeszłości*, do żadnej epoki nie może się lepiej zastosować jak do naszej. Rzuciwszy okiem na politykę, filozofję, religję, sztukę wojenną, literaturę, wszędzie postzegamy nieszezęśliwy eklektyzm. Czy epoka nasza tak jest ogolona z natchnień, że nic nowego wydać nie może?... czy też przeznaczeniem jej używać tego co młodszy świat stworzył?... czy nakoniec powołaniem naszym jest tylko realizować te wielkie pomysły jakie gieniusz od czasu do czasu rzuca? Ostatnie to przypuszczenie zdaje mi się najlepiej wyjaśniać symptoma naszego wieku. Patrzmy! niegdyś rycerskie dzieła miały swoich Homerów, Trubadurów, Tassów którzy opiewali zbroję i meża jak Hektor, Godfred, Roland, Karól Wielki; ich dziełom oddawano cześć prawie religijną, ale żadnemu kramarzowi lub cyrulikowi małego miasteczka przez głowę nieprzeszło udawać Hektora, Godfreda, Rolanda. Za naszych dni przeciwnie: poeta wyszukuje charaktery najdziwniejsze, najrzadsze, jakich na podslonecznym niebysze świecie, i wnet kupa naśladowców ulicznych przybiera ton i manijery i język nawet bohatera w modzie. Manija ta, mianowicie we Francji, równie zmianie podlega co moda. I tak, dziś panuje Antony, jutro: Trenmor, pojutrze: Manfred, Werter i t. d. U nas zaś, nieporównany Mickiewicz, równie jak Goethe, Byron, Jerzy Sand, wywołał z cieniów przeszłości krzyżackiej, ową ogromną postać, od stóp do głów w kirysie, dumną, tajemniczą, mściwą, słowem zakonnika rozkochanego, co pił, mordował i śpiewał ballady, a kreśląc ten olbrzymi charakter mogący wielką myśl zaszczerpić w narodzie, niespodziewał się może, wywołać najśmieszniejszych w świecie naśladowców, którzyby Molierowi mogli dostarczyć materji do nowego rodzaju Tartuśfów.

W kraju jak nasza Polska, ujarzmionym, zakrwawionym za lada krok do odzyskania bytu lub rozpowszechniania nowych wyobrażeń, charakter Wallenroda, Wallenroda na wielką stopę, coby wpił się w duszę cara, trząsł gabinetem, coby nareszcie

złobnymi podszeptami wywołał powstanie uciśnionego ludu, byłby apoteozą rozumu, bystrości, wielkiego poświęcenia się, bo kto więc czyliłby mu nawet została chwala głęboko pojętego celu, choćby ten udał się pomyślnie. Duch poety mierząc cały ogrom potęgi tyrańca ze słabością pogrzebionych, nie mógł nie trafniejszego wymyślić, a zwłaszcza w chwilach, kiedy naród nie poczuł jeszcze sił swoich, kiedy się niezdecydował do krwawej, otwartej walki, i niewyrzekł w obec świata: *dam się umęczyć dla zbawienia ludów!*— Na nieszczęście po ogłoszeniu Wallenroda w nikim nieobjawił się podobny charakter. Warszawa tylko odpychając pieczęty swego brutalnego, zrzuciła maskę uległości, a za nią cały naród, i to podobno najprostsza droga. Z tem wszystkiem, figura mistrza tkwiła głęboko w pamięci, co więcej, stała się niejako formułą usprawiedliwień, i płaszczykiem, pod którym kto chce może się zmieścić wygodnie.

Naprzód stronę tę zaczęli pisarze, którym Adam Czartoryski dostarczał piór i atramentu, kłopotąc się niepomału, jak tu wypłatać w oczach narodu i potomności przyjaźń swego patrona z nieboszczykiem Aleksandrem, wielkie jego wpływy gabinetowe, jego służbę moskiewską, i różne plany do konstytucji. Dostrzegli w głębi tej ciemnej plamki, małe światełko w szczęśliwym pojawieniu się Wallenroda, który choć mówi bardzo wyraźnie:

..... dziś litewskie pany

Przychodzą własne oddawać nam kraje,

I zemsty szukać na swój lud znękany!

przecie po różnych a różnych dowodzeniach i konsekwencyach odkryto że książę-pan, a nie kto inny był owym żywym, praktycznym Wallenrodem, z wyjątkiem wszakże iż Moskalom nic złego nie zrobił, zapewne w skutek dobrego wychowania i cywilizacji. Po tak zachęcającym przykładzie, Wallenrodizm nabrał wartości; co więcej stał się niejako przysłowiem krajowym.

Weźmy np. dobrodusznego szlachcica. Jakiś ukaz carski zakłócił mu pokój domowy; rozpacz, przeklina ciemność, a rachując na cud, który na końcu piątego aktu ma się pojawić, pociesza się: To pewnie ktoś przy boku cara sprzyjający nam, musiał mu podsyłkować, aby naród do reszty oburzyć?!— I ot roi sobie Wallenroda

Znowu niby gdzie w arystokratycznym gronie, znajdzie się jaki intruz, który niezważając na różne parantele, tnie prawdę i hańbi czyjego wujaszka, stryjaszka, dziadunia że służy ciemności i jest albo fliegł adjutantem, albo hofratem, albo ambasadorem. Nato wnet wyskoczy obrońca, który ci szepnie do ucha: Niepotępiaj, ten człowiek poszedł do dworu z przedsięwzięciem Wallenroda! Wallenrod tymczasem zgarnia order, skonfiskowane majątki, i chęłpi się, że tylko on zna sposób uchołdzić dzikiego zwierza, że gdyby wszyscy poszli za jego przykładem i poddali się z pokorą, czas i dyplomacya postawiłyby Polskę na nogi!—I ot nowy Wallenrod!..

Manię tę jeszcze dalej posuwają tuzinkowi Wallenrodzi, którzy u nas na funty pełno. I tak, jesteś w Warszawie, w Krakowie, w Wilnie, Lwowie, Poznaniu, spotykasz na ulicy znajomą ci niegdys figure, a znajomą w jakim kole spiskowych, gorących patriotów; przypominasz sobie zapal jego mowy, jego jesta mordercze, słowem, poszedłbyś o zakład, że ten człowiek wykonał albo wykona czyn godny pamięci Serece ci zadręgało, leciś go uściskać;—ale, o niestałości rzeczy ludzkich! ów zapalenieć zakręcił półkolem abyś go nieschwycił, zdjął nisko kapelus i zwinął kominka w boczną uliczkę. Teraz stoisz, opuściłeś ręce i dumasz. Nadchodzi ktoś z zażyłych.—Oświeć mnie przyjacielu co się zrobiło z panem N. że udał jakby mnie niepoznał, przecież!...—Rzecz najprostsza! Ciebie rząd źle uważa, a pan N. unika podobnych zetknięć, czy rozumiesz?—Bóg świadkiem, że nie.—Trzeba ci wiedzieć że pan N. dostał urząd, a tem samem wpadł na drogę kariery.—I tożby go miało odmienić?—Bynajmniej!... Niemogąc otwarcie, postanowił skrycie działać.—Więc w urzędowaniu swojem dopomaga dobrej sprawie?...—Przeciwnie, nadzwyczaj jest skrupulatny, żaden nawet Moskal tak ostro niebierze, pan N. to Wallenrod

całą gębą. W pare lat znowu zdarza ci się słyszyć o panu N. że już podskoczył o kilka stopni, ale narzekania zewsząd: tu będąc na komisji zdecydował na stronę rządu z krzywdą nieszczęśliwej rodziny; ówdzie z kogoś ciągnął inkwizycję za przestępstwo polityczne, i tak wymacał że biedaka potaszczone na Sybir, i mnóstwo podobnych grzechów!—A to lotr gorszy Niemca i Moskala! wołasz w oburzeniu. Wtém ktoś się przybliży i mówi tajemnie.—Niesądź go tak surowo, to Wallenrod!...

Inny jeszcze rodzaj Wallenroda przedstawia nam następna gawędka. Idziesz ulicą np. w Krakowie i spotykasz znajomą twarz, która przez kilka lat żyła pod pięknym niebem Francji.—A ty co tu porabiasz?—Co widzisz; jestem sobie w Krakowie.—Jako? czy w charakterze emisariusza, i tak otwarcie?...—Emisariusza? niemięj że mię za tak lekkomyślne stworzenie;—Więc przecie jakiś cel, jakieś przeznaczenie?—Ołbrzymie; przybywam za amnestją.—Czyś oszalał! jeżeli cię Mikołaj niekaże powiesić, to rodacy potępią w opinii.—Zartuję z nię, czas pokaże, i nachylając się szepce ci pod sekretem:—Nam trzeba Wallenrodów!—Uspokojony tēm, myślisz sobie w prostocie ducha, że on tam wszystkich wymorduje Moskali;—aż oto w rok, czy we dwa, dowiadujesz się że Wallenrod wyparł się nie tylko swojej przeszłości, ale psy na nią wiesza, że chociaż niema urzędu (bo mu go dać niechęć) jednak z Moskalami pije szampana, gra w stosa, i wyciera pokoje Paszkiewicza.

Zgola zaczawszy od panów jenerałów, hofratów, ministrów, ambasadatorów, co służą trzem dworom, aż do lada biuralisty wszystko ratuje się temi pobocznymi schodkami, dla zostawienia opinii w wahającej się wątpliwości; a nawet, ta pełna poświęceń płeć piękna, kiedy idąc za popędem kaprysu lub zepsucia oddaje rączkę Szwabowi lub Kacapowi, tłumaczy się na przymówki opinii:—Będę wpływać na męża i jednego Polaka zyskam dla ojczyzny. Tymczasem na nieszczęśliwej Wallenrodce sprawdza się najczęściej to przysłowie: *Ztapatem Tatara, chce go wieść, a on mnie ciągnie!*...

Wierząc mi nieporównany wieszczu, prześlizny utworzyłś ideał, ale jest w nim jakaś niedoskonałość, że znikczemnienie, podłość, brak charakteru, wyparcie się uczuć narodowych, tak łatwo parodują ten plaszczy krzyżacki i ten hełm z tajemniczą przyłbicą. My wszakże nietracim nadziei że na takich Wallenrodów przyjdzie kiedyś sąd ludów, który im krzyknie w niespodzianą godzinę: o *Weh!* o *Weh!*

PANEGIRIK BANIALUK

PANA MICHAŁA.¹

Wielki proroku i podpora tronów!
Co pielęgnujesz szczątki Jagiellonów,
Co nas nieuków, dziś po polsku uczysz,
Z kotpakiem w czapię gdy się nabuńdziuczysz,
Gdy się panoszysz i zeby o zeby
Stukasz w tajnikach namarszczonę gęby,
Lub jak jaskółka święgotunka jaka
Balakasz światu przygody kozaka;
Gdy mizgasz oczkiem na nadworne pame,
Niżli się skryjesz w proroctwa kotbanie,
Pornawszy murka lub dernawszy w nogi
Po za książęce woskowane progi,
Choć cię ścigają korowodem płacze,
Choć każda dama w żalu Kudkudacze.
Bo już hulasz na królewskim dworze
Bez ciebie nigdy, nigdy być niemoże;
Bo twa mulorność każe ciebie lubić,
I ty sam umiesz umysły hotubić.
Któż na cię patrząc, któż ciebie słuchając,

¹ Dla zrozumienia panegiriku odsłaniamy czytelników do jego źródła: *Stefan Czarniecki*, powieść historyczna przez *M. Czajkowskiego*.

Oczami typiac, uszami mrygając,
 Śród ust młaskania ciebie nieobwola
 Żeś godny nosić imię Archaniola?
 W kimże Tetera, Drogonius, Kirdżali,
Krwii pluskającej żarem niezapali,
 A chociaż zawiść po świecie rozniosła,
 Że ci należy miano Archi-osła.
 Ja twój wielbiciel przed tobą się korzę,
 I wołam w Pszonce, że to być niemoże!
 A jak *śnieg z góry co pada ryczałtem*,
Wielkości ptaszczem-odzywam cię gwałtem.
 Bo proszę Państwa, talentto nie lada,
 Co nam tak piękne bajki opowiada,
 I grzebiąc *zadem* w upłynionych czasach
 Wiedzie w potomność w złoconych kolasach,
 I na rumakach śród pysznych turniejów,
 Swoich kochanych z *Maja* dobrodziejów.

Stefan Czarniecki, historyczna powieść,
 W której tak łatwo udało się dowieść,
 Że wódz bohater, obrońca wolności,
 Był niskim sługą Króla Jegomości;
 W której przeznacza książęca rodzina,
 Głośna na polach naszego Babina,
 Z każdego kąta znieznacka wygląda,
 I milczkiem mówi, czego chciwie żąda.
 Ah! co za utwor piękny, gienijalny!
 Co za manifest do tronu pochwalny,
 Znoście mu, znoście wszyscy na wyścigi,
 Na wieniec wieszczca szaleju łodygi.

Próżno tam mruczysz niechętny na boku,
 Wątpiac o królu i jego proroku;
 Lub jeśliś kiedy Wernyhore czytał,
 Będziesz o słowo tej zagadki pytał?
 Będziesz leż łamał, jak teraz pogodzić,
 Co wzajem sobie winno niby szkodzić?
 Berło Adama i Rzeczpospolitą?
 Miecz zbawiciela i dwór z panów switą?
 Lub jeśliś szperacz w towarzystw szpargałach,
 Wspomnisz o dawnych węglarskich zapalach,
 Widząc jak wszystko zmieszane jak w rogu,
 Krzykniesz «To zmiennik» i przysięgniesz Bogu,
 To nic nieszkodzi—i wszystko być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.
 O wielki Jacku Przybylski, niestety!
 I w cóż się twoje obróca zalety?
 Tyś umiał tylko słowa odgrzebywać,
 Myśl twą naddziadów wyrazami zsywać,
 Albo skuwając rozpadłe żywioły,
 Otrząsać z kronik Bielskiego popioły.
 Ale zatarte już dziś twoje ślady
 Szumiącym prądem Michała kaskady.
 Postęp dziś hasłem,—dla dudków nauki,
 Pan Michał prawi swoje banialuki.
 Darmo o krzywdę języka niewołaj,
 Inaczej głosi jałowy Mikołaj ²,
 Z krytyków który jeśli czasem szyku
 Chciał coś powiedzieć,—zbity z *pantatyku*,
 Padł w obec mistrza i leży pokotem,
 A *serce w piersiach uderza mu młotem*.
 A nasz pan Michał *buszuje i hula*,
 Choć mu się *wetna na tysie wyszmula*
 Ale to przecież niezszpeci tyle
 Wieszczowe wieszczca łys skryją *badyle*.

Jako w pracowni biegłego chemika,
 Gdy się pierwiastek z złożonemi styka,
 Gdy galwaniczny żar piorunem pali,
 W dziwne się kształty nowa sól kryształali,
 I to, co dotąd świat za plyn uważał,

Alchemik w kryształ i sól poprzetwarzał;
 Tak też w pracowni płodnego Michała,
 Każda rzecz nowęj wartości nabrała.
 Słowo, co dotąd czyn pewny oznacza,
 On chwyta, męczy i wraz przeistacza;
 A kiedy takich słów kilka nakreśli,
 Nie każdy łatwo domaca się myśli;
 Bo jeśli który w dobrodusznęj wierze,
 W dawném znaczeniu każdy wyraz bierze,
 Czytając biedak, ani odgaduje
 Jak tam myśl *hula i palamaruje*.
 W Polsce, choć polskim pisano językiem,
 Każdy go czyta z przydanym słownikiem,
 Tak on granice polszczyzny rozszerzył,
 A wszędzie przemógł w co tylko uderzył.
 Na odgłos *duższej* niżli *Skola* chwały,
 Wszystkie psy nawet *głośno zadziawkały*.
 Choć język, chwalić arcydziela lechce,
 Jednak o reszcie przypominać niechęć.
 To tylko kładę dla publicznej wieści
 Że śród obrazów jakie powieść mieści,
 Kozak Tetera, zakrywszy łysinę,
 Ma mieć autora i postać i minę,
 Zwyczajnie *jako* przez malarza zdjęty,
 Ogladzon trochę i lepięj opięty.

A teraz kiedy, przeznaczy nasz czumie,
 Wysmalilem ci pochwalne uczucie,
 Choć *krzywułami schylone litery*,
 Wiesz żem wielbiciel twój stały i szczery,
 Wiwat Pan Michał i Czerdziećci cztery!...

Komedya Czartoryskich

NA BENEFIS CZARTORYSKICH.

Do tysiąca i jednej komedyi przez familię Czartoryskich z Polakami, Polakami, przeciw Polakom, kosztem Polaków, w Polsce, za Polską, na korzyść Czartoryskich, dodano jeszcze nową 1840 r. 3^o kwietnia, na emigracyi, we Francyi, w Paryżu, po francuzku, na francuzkim teatrze *De la Renaissance*, pod tytułem: *La Duchesse de Guise*. Nakłady wystawienia przekonały że niebrakło funduszów. Chór ze stu osób obojęj płci uderzał przepychem strojów; JO. żebraczka odznaczała się w chórze kosztownym dyademem, Pan Albert błyskał orderem kongresówki, komisarze-pajaco zachwycaли publiczność stosownością liberyi i konduity. Grano, śpiewano, klaskano, chwalono na teatrze; klaskano, chwalono za teatrem; jedném słowem: *komedya udała się*, i raz jeszcze dowiodła, że jęj twórcy *biegli są w kuglarstwie*, że jak zawsze i teraz niczego nieszczędzili, *nawet godności imienia polskiego*. E!... bo powiadałszy prawdę, co tam ta godność?!... to imię Polski?! Zawsze frazesa i frazesa!... Że też emigracya niemoże się ich oduczyć, niemoże wejść na drogę *praktycznego rozumu*, jak gdyby nieczytała nigdy *Trzeciego-Maja*. Przypuśćmy wreszcie że te wszystkie rzeczy istną po za obrębem aureoli otaczającej naszą dynastję, w poddańcem jęj motłochu; ale Polska jest dynastya, dynastya familija Czartoryskich, co po zanią, to jęj narzędzie, jęj własność. Polska jęj własność, a dopieroż emigracya?.. Emigracya, to nie więcej tylko chłop Czartoryskiego, a chłop o tyle dobry o ile odbywa jego pańszczyznę. Czartoryskiemu jako monarsze, jako królowi, jako panu, wolno z emigracyą, wolno z Polską, i ze wszystkiem co do emigracyi i do Polski należy, zrobić co się tylko jemu rzewnie podoba. Chcielibyście żeby był królem malowanym?!... Zrozumiecie aby raz, co to jest król z prawa bożego, z bożej łaski, król *de facto*. Ach! Jak krótki wzrok mieć potrzeba, żeby niedostrzedz całej użyteczności podobnych komedyi, balów, bazarów, ma się rozumieć —dla dynastyi. Co się nadweręży z jednéj strony, to się wmo-

² Patrz w *Trzecim Maju* Pochwałki Banialuki p. Michała.

eni z drugiej. Drażliwość narodowa poboleje cokolwiek, ale za to wzmoże się blask majestatu dynastycznego. Godność imienia polskiego, honor Polski, uczucia dumy narodowej, to są abstrakcje, wiatr, a nam trzeba rzeczywistości, podniesienia interesu naszej korony. Za tę odrobinę uczuć narodowych będziemy mieli żółdy pokątny z ręki księcia-pana, bilety obiadowe, wyraźniej mówiąc i krócej: będziemy mieli pieczeniary. Czyż niewidoczna korzyść?... Koniec końców, jestto niczem niezbędna operacja naszej dynastji, pożerać i trawić Polskę, a wydawać z siebie poddanych. Niech żyją JJO. kuglarze!.... Niech żyje szarańcza dynastyczna *de facto*!...

Tyle na początek, reszta na potem.

ROZMAITOŚCI.

Dziwią się że arystokracja robi dzieciństwa bawiąc się w króla Adama; w tym wszakże niema nic dziwnego, bo komuż niewiadomo, że człowiek przyszedłszy do pewnego wieku, na nowo dziecinieje.

—Coraz lepiej przekonujemy się że Czartoryski jest znakomity wirtuoz na *cymbałach*. Dawid został królem przez arę, Czartoryski chce nim zostać przez *cymbały*. Koncert odgrywa się na samą kwincję. Nowy Paganini!...

—*Trzeci-Maj* nieśmie czasem wymienić pewnego nazwiska, i wtedy wyraża się przez słowa wpółtajemnicze: *Ten, Który, On, Ono*. Ten sposób niejest wynalazkiem *Trzeciego-Maja*. Dawnyto zwyczaj używać wyrazu *Ono*, kiedy przyzwolitość zabrania wyrazić się właściwiej.

—*Trzeci-Maj* powiada, że aktorów, którzy 3^o kwietnia na teatrze wystąpili, *sama księżna Anna kształciła*. No, to księżna Anna nielada komedyantka być musi.

—Jeden z fejletonistów francuzkich mówiąc o naszych paniach miłosiernych, robi uwagę: «że te panie były już przekupkami, teraz są śpiewaczkami, na przyszły rok staną się tancerkami, i kto wie gdzie jeszcze miłosierdzie zaprowadzić ich może.» Z tych słów *Trzeci-Maj* wnosi, że komedia Czartoryskich podobała się Francuzom.

—*Książę Ogiński Gabryel* wyjechał za amnestją moskiewską i jest już w Poznańskim. Komedyantki kupiły mu kocz, konie i zaopatrzyły w pieniądze na drogę. Powiadają że książę Gabryel jedzie w misji Anioła Gabryela zwiastować Mikołajowi, że cała 'czereła komedyantów jest już w gotowości do wyruszenia na pierwsze jego skinienie.

—*Trzeci-Maj* przymierza Szekspira do Czajkowskiego Michała. To nie po chrześcijańsku. De mortuis aut bene, aut nihil.

—Niedawno hrabia naczelnik *Trzeciego-Maja* odezwał się: Niech co chcą na nas gadają, przynajmniej nieznajdą między nami brudu,—i to mówiąc, wskazał na stojącego przy sobie księcia, którego nazwisko, że użyjemy Lelewelowskiego sposobu, kto wie niech dopisze.

—Uczył raz książd cygana dziesięcioro przykazań. Gdy przyszło: *Siódme nie kradnij*, powtórzył wiernie cygan za panią-matką pacierz, ale w tej samej chwili wyciągnął księdzu tabakierę z kieszeni. Teraz Ludwik Orpiszewski drukuje w *Trzecim-Maju* powiastkę, której tytuł: *Złe złym panom służyć*. Niejestże to pacierz cygański?!

—Na jednym z posiedzeń Tow. Lit. pols. Kasztelan Ludwik Plater czytał podług zwyczaju z *Gazety codziennęj* (jak to na iwnie opisuje w swojej Białorusi uczony Rypiński) artykuł o zabawach tegorocznego karnawału w Warszawie.—A to lądaki! krzyknął ktoś z obecnych: ojczyzna w grobie, a oni się bawią!...—Stul pysk, przerwie mu z boku kolega, czy zapomniałeś że dziś tańczymy u kasztelana. Dla objaśnienia, należy dodać, że nasza arystokracja paryżka i jej pieczeniary, na każdą niedzielę karnawałową obierają z pośród siebie króla, którego obowiązkiem wydać bal dla reszty. Bale te odbywają się zwyczajnie u Ludwika Platera, a każdy bal do kilkuset franków kosztuje.

—Kilku członków stowarzyszenia *Zjednoczeniem* zwanego (z Gminy Poitiers) zaskarżyło kom. kor. o rozmaite przestępstwa polityczne i naruszenie *świętego i nietykalnego* grosza publicznego. W odezwie zaskarżających do ogółu stowarzyszenia, takie czytamy zdanie o składzie kom. kor. *Nie są to wyznawcy zasad demokratycznych, ale półśrodkowcy zbliżający się do arystokracji, albo zupełni arystokraci, co zaś do za-*

sad demokratycznych, widać tam tylko małe światelko ginące, jako jednostkę. Powiadają że gdy w godzinę po wydrukowaniu odezwy szukał ktoś w kom. kor. onego *jedynego światelka*, już i tego niebyło. Tak było słabe i nagle ginące.

—Orlicki, zmarły niedawno w Paryżu, prosił przed śmiercią, jakby o największą łaskę, żeby go pochowano bez mowy pogrzebowej. Czy wiedział że p. Krystyn Ostrowski będzie na pogrzebie?...

Doniesienia.

LEON ZIENKOWICZ wydaje w Strazburgu UBIORY POLSKIE. Każda rycina przedstawia jakąś scenę z domowego albo wojennego życia polskiego ludu. Ryciny dotąd wyszły lub będące na ukończeniu są następujące:

Krakowiacy w ubiorze świątecznym.	Pinczuki
— w ubiorze codziennym.	Żebrak z okolic Kijowa.
Wieśniacy od Szkalimierza.	Wolynianki (w polu).
— od Proszowa.	Podlasianie (przed kościołem).
— od Skawiny.	Ukraińcy (na wieczernicy).
Kijacy z Podgórza.	Czumak ukraiński (w drodze).
Górale-Polacy w Karpatach.	Górale-Rusini zwani Huculę (Kolomyja).
— na pasterstwie w przedgórach.	— zwani Bojki (Stryj).
Mazury (Warszawa).	Wieśniaczki z Jarosławia.
Kujawiacy (Wrocławek).	Szlązaki.
Wielkopoleanie (Poznań)	Mieszczanie.
Sandomierzanie (okrężne czyli dożynki).	Szlachta w dawnych ubiorach.
Sitarze z Bilgoraja (Zamość).	Powstańcy z r. 1831.
Lublinianie (w dzień weselny)	Piechota linijowa i strzelcy piesze.
Podlasianie-Mazury (u siana).	Ułany i strzelcy konne.
— Rusini (w karczmie).	Artylerya, inżynijerya, kwatermistrzostwo.
Kurpie z lasów ostrołęckich.	Sztab (Jeneral, Adjutant, Auditor, Doktor).
Żmudzini (przed karczmą).	Niefrontowi (Weterani czynni i nieczynni, Pościąg, Artylerya wawłowa, Zandarmerya).
Litwini.	
Wieśniaczki od Mińska (wieczór dziewic).	
Grodnianie (u żniwa).	
Strzelcy z puszczy białowieżkiej.	

Wielkość rycin: ćwiartka formatu zwanego *Jezus*.

Ryciny są czarne i kolorowane.

Cena pojedynczej ryciny czarnej cent. 75, kolorowanej fr. 1. cent. 25.

Zgłaszać się o nabycie (franco) do Leona Zienkowieza, Strasbourg (Bas-Rhin), rue des veaux, 23, z załączeniem przypadającej należności za żądane ryciny.

NINIEJSZY POLARKUSZ

PSZONKI

JEST

SZOSTYM Z KOLEI

ZA

DEWOTEBPOLEOCZB,

KTO CHCE

NADAL UTRZYMYWAĆ TO PISMO

NIECH RACZY BEZWOLOCZNIE

ZŁOŻYĆ

PRZYPADAJĄCĄ OBLATĘ

PSZONKA ma honor raz jeszcze przestrzedz, że listów *niefrankowanych* nieprzyjmuje.